NOWOŚCI ILLUSTROWANE

Prenumerata kosztuje:
Kwartalnie 4 kor. — 4 Mrk. — 2 Rbs. Półrocznie 8 kor. 8 Mrk. — 4 Rbs. Rocznie 16 kor. — 16 Mrk. — 8 Rbs.

Wychodzi każdej soboty.
REDAKCYA I ADMINISTRACYA KRAKÓW, UL. ZIELONA 7.
Nr. TELEFONU 479.

Numer pojedynczy kosztuje 16 centów (32 halerzy).

Rok I. | Kraków, 5 listopada 1904 r. | Nr. 6.

Rozszarpany przez niedźwiedzicę.



(Do artykułu na str. 4).

Numer ten zawiera 24 stronic druku!



5 (Ciąg dalszy.)

POWIEŚĆ.

Dzieci same na drugiem piętrze gościom drzwi otwierają i usługują ślepej babce i chorej matce, która ponoś nie długo kipnie na suchoty...

— Ileż jest tych dzieciaków?

— Troje. Dwie blade panienki i chłopak na nogach utrzymać się nie mogący, bo ma głowę, nie przymierzając, jak dynia.

— Ho, ho, aż troje! To rubel, jaki przynosim w domu się przyda?

— Ma się wie, że przydać się przyda. Bo tak Bogiem a prawdą, szczerze mówiąc, doktor jest człowiek dobry i ponoś nawet uczony, jeno mnie cni się, jak na niego patrzę, aż czarny od smutku i jak mruk wciąż milczy... chyba, że go zapytasz o jaką bolączkę, to wysłucha, odpowie i nawet lekarstwo zapisze.

Stróż pożegnał się i odszedł, pozostawiając ajentów przy kuflach.

— Wiesz co? — rzekł Piperstein — mnie ta sprawa jakoś dziwnie pod lewem żebrem łechcze, chociaż do łapania ryb podobnych, w różnych mętnych wodach, przyzwyczajony jestem oddawna.

— Bo ty, chociaż żyd, nie pasujesz do naszego rzemiosła. Nie wiem nawet, za co bierzesz często nagrody. Co dyabli by mnie obchodził taki tam psi syn, którego mam ująć i zaprowadzić do kozy? Tfu! zamordował hrabiego, kara mu się należy.. to okrągłe jak obręcz i jasne jak słońce!

— Nie tak jasne, jak ci się wydaje!

— Daj spokój! wszystko go oskarża...

— Nie przeczę... a jednak...

— A jednak, co?

— Nic! każdy sobie myśli, jak mu jego własna głowa myśleć każe!

Umilkł i utkwił oczy w odległej panoramie ulicy.

Mgła gęsta i wilgotna opadać zaczęła z zachmurzonego, jesiennego nieba. W jej szarych, wlekących się nisko nad ziemią kłębach, rozpływały się sylwetki przechodniów, tracąc na wyrazistości. Pomimo to, Piperstein dostrzegł w oddaleniu Żarskiego, zdążającego pospiesznie do domu od strony magazynów cłowych.

— Otóż i on!

— Trzeba jednak przekonać się, czy się nie mylisz — powiedział Maślak. — Pójdę stróża zapytać.

Wyszedł z szynku i po chwili wrócił.

— Nasza zwierzyna — szepnął do ucha koledze.

Zapłacili przy szykwasie za piwo, poczem Maślak wszedł do bramy i ukrył się pod schodami, a Piperstein zawołał dorożkę i pojechał nią do cyrkułu.

VI.

Dzieci zgromadzone w pokoju chorej, zapewniały Marcina, że „mateczka ma się dziś znacznie lepiej“.

W istocie, Klara spożyła śniadanie z większym niż zwykle apetytem. Przyniesioną przez męża pomarańczę i trochę winogron trzymała w dłoni i uśmiechając się szeptała:

— Dzieci się nie mylą... na prawdę czuję się zdrowszą... nawet chciałabym wstać...

Lecz Żarski nie zgodził się na jej żądanie, prosząc, by dziś jeszcze pozostała w łóżku. Poczem ucałowawszy ręce żony, przeszedł do jadalnego pokoju.

Powrócił z miasta okropnie zmęczony. Złamały go doznane wzruszenia. Po nocy, bezsennie spędzonej, nie odzyskał jeszcze władzy nad sobą.

Rozwiązanie wczorajszego dramatu było mu dotąd nieznane. Usiadłszy, żeby nieco odpocząć, spostrzegł na stole numer „Kuryera Porannego“. Wziął go do ręki i zaraz na pierwszej kolumnie znalazł opis zbrodni.

Staruszka, pani Żarska, nie wiedziała jeszcze, co się stało w pałacu. Syn zatem — jej ukochany syn — zrozumiał, że musi donieść matce o strasznym wypadku.

— Mateczko — rzekł drżącym głosem — moja biedna i droga mateczko, wczoraj wieczorem zamordowano hrabiego Jelskiego.

Ślepa, przechodząc wówczas koło stołu, potknęła się i zachwiała. Wzniosła ręce do czoła, a potem, opuszczając je bezwładnie wzdłuż ciała, runęła w ramiona Marcina, który poskoczył, żeby ją podtrzymać. Chwilę milczała. Następnie potok urywanych zdań i wyrazów z ust jej popłynął.

— O, mój Boże! czuję, że oszaleję... Umarł! zamordowany!... ojciec, który wyparł się swego dziecka... bogacz, którego obowiązkiem było ochronić nas od nędzy, a on odepchnął nędzarzy... zamordowany! To niepodobna! Wszakże, gdyś się z nim widział wczoraj, był zdrów... i pełen siły...

— Zamordowano go widocznie po mojem odejściu...

— Lecz kto?... kto go mógł zabić?

— Mamo... mateczko — prosił Żarski — nie trzeba mówić że byłem u niego... Nie mów o tem nikomu... Czy rozumiesz mamo? nikomu! Tajemnicy naszej nikt znać nie powinien. Gdy wchodziłem do pałacu, było już ciemno, a szwajcar mi się nie przyglądał. Wprawdzie długo nalegać musiałem, zanim murzyn... prawdopodobnie jego kamerdyner, wysoki, dobrze zbudowany mężczyzna wpuścił mnie do pracowni, lecz światła nie były jeszcze pozapalane, nie mógł więc widzieć mojej twarzy. W gabinecie rozegrała się straszliwa scena, którą ci dziś rano opowiedziałem, a która na zawsze wyryła mi się w pamięci. Gdy lżył mnie i ciebie, wściekłość mnie ogarnęła... Przyznaję, że chciałem go zabić, lecz na czas się opamiętałem... i lękając się, bym nie oszalał z gniewu, krew mi bowiem biła do głowy... uciekłem. Nikt mnie nie widział, nikt mnie nie zna... o tajemnicy naszej zatem nikt się nie dowie...

— Uciekłeś niespostrzeżony... lecz bez kapelusza! Pozostawiłeś go w pokoju hrabiego... Czy nie pamiętasz, że na podszewce kazałeś wycisnąć pierwsze litery twego imienia i nazwiska? Ach, mój synu, mój synu! zdaje mi się, że jesteś zgubiony. Ciebie... ciebie o zbrodnię obwinią!

— Kto ośmieli się obwinić mnie o zbrodnię, której nie popełniłem?! Ależ mamo, przecież bronić się potrafię. Czy mam minę zbrodniarza? Przyznaję, że w uniesieniu... lecz zapanowałem nad niem... i wybiegłem. — Przesunął ręką po czole. Och! to bezwiedne i okropne błądzenie wczoraj po błotem pokrytych ulicach Warszawy... w deszcz, który chłodem swoim przenikał mię do kości. Trząsłem się od zimna, jak wilk szczękając zębami. Przycisnąwszy się do żelaznej poręczy, patrzyłem w czarną jak atrament wodę, rozbijającą się o filary, na których most się wspiera... Długie upływały godziny, a rzeka, jak magnes przyciągający żelazo, ciągnęła mnie ku sobie. Na szczęście, spotkał mnie w tym okropnym stanie adwokat Molski wiesz, brat owej młodej panienki, którą leczyłem przed dziesięciu laty... brat panny Eugenii Molskiej.

— Eugenii Molskiej?! Tak, przypominam sobie — i to mówiąc zrozpaczona staruszka siadła na krześle, zanurzając swoje chude palce w siwych włosach...

Po chwili podniosła pochyloną na piersi głowę i poprosiła Marcina, by jej przeczytał artykuł „Kuryera“. Gdy Żarski uczynił zadość jej życzeniu, ślepa słuchała uważnie, z rękami skrzyżowanemi na kolanach, dygocąca cała, jakby gwałtowny wicher trząsł jej ciałem.

— O! — westchnęła głęboko i wzniosła ręce w górę, złożone, jakby do modlitwy. — Nieszczęście! — rzekła — nieszczęście czeka cię mój synu.

Równocześnie rozgległ się odgłos dzwonka w przedpokoju.

Sabinka pobiegła drzwi otworzyć.

Lecz i Marcin wraz z córką rzucił się na przyjęcie przybywających. Trzej mężczyźni, z których jeden w mundurze, — stanęli w progu. Za nimi, na schodach, widać było dwóch policyantów.

— Kogo panowie szukają? — zapytał młody lekarz.

— Doktora Marcina Żarskiego.

— Ja nim jestem. Czego panowie żądają?

— Jestem pomocnikiem komisarza — rzekł oficer policyjny — i przychodzę pana aresztować.

— Aresztować?!... za co?

Nie odpowiadając na zapytanie zastępca komisarza, popchnął lekko przed siebie Marcina i wszedł z nim razem i ajentami do jadalni.

Ślepa, spiorunowana trwogą, stała nieruchoma, a blade jej usta drżały febrycznie. Skurczone palce położyła na główce Sabiny, tak bladej i tak drżącej jak babka. W pośród ciasnego pokoju — pełnego dla jego mieszkańców drogich wspomnień rodzinnych — młody lekarz hardo stawił czoło przybyłym.

— Ależ dlaczego mnie panowie aresztujecie? Jakie popełniłem przestępstwo? Cała dzielnica zaświadczy pewnie, że jestem uczciwym człowiekiem... Och, głowa mi pęka... chyba oszaleję!

Wtedy urzędnik policyjny rzekł chłodnym tonem:

— Popełniłeś pan zbrodnię. Co go do tego skłoniło?... nie wiem. Chcę wierzyć, że człowiek z nauką i zajmujący zaszczytne stanowisko w społeczeństwie, dotąd pod każdym względem nieposzlakowany, jeśli zamordował, to chyba w gniewie. Lecz to, do mnie nie należy; o tem mówić pan będziesz z sędzią śledczym. Co do mnie, otrzymałem rozkaz aresztowania pana... więc go aresztuję.

— Chcesz zabrać z sobą mego syna? — rzekła ślepa, postępując naprzód. — Porywasz mi go, pozbawiając ojca małoletnich dzieci. Powiadam ci: niepodobna, aby syn mój był mordercą. Spojrzyj na niego, a przekonasz się, że jesteś w błędzie. Czy tak wyglądają mordercy?

— A jednak, pani daruje, syn jej zamordował hrabiego Jelskiego.

— To kłamstwo!... ohydne kłamstwo!

— Doktor Marcin Żarski był u hrabiego w chwili spełnienia zbrodni.

— Był!... bo ja go posłałam!

— W jakim celu?

— W jakim celu?... A! tego nie mogę panu powiedzieć. To tajemnica między mną a mojem dzieckiem... tajemnica, do wyjawienia której nikt nas zmusić nie zdoła. Ani ja, ani mój syn... znam go pod tym względem dobrze... nie wyda jej przed nikim.

Ajenci, na dany przez przełożonego znak, zaczęli rozglądać się po pokoju. Marcin dostrzegł to ich milczące porozumienie się wzrokiem.

— Możecie panowie wszystko przeszukać. Oto klucze od szaf i komód, lecz na to, co macie najświętszego, błagam was, nie wchodźcie do sypialni mojej żony, bo byście ją widokiem swoim zabili...

— Niech pan doktor będzie spokojny — rzekł Maślak, tym razem, równie jak Piperstein wzruszony.

Ajenci szybko załatwili się z rewizyą, która — jak to łatwem było do przewidzenia — nie wydała żadnego rezultatu. Poczem wrócili do jadalni.

Marcin, o piec oparty, stał nieruchomy. Dziewczynki obie, Sabina i Zosia — która nadeszła z pokoju matki i o wszystkiem od siostry się dowiedziała — patrzyły na ojca załzawionemi oczami. Przyłączył się do nich Janek. Otoczyli w troje Marcina, wyciągając do niego ręce, a równocześnie

wzrokiem, pełnym obawy, mierzyli obcych i nieznanych ludzi, którzy wnieśli z sobą do ich ubogiego i cichego mieszkania rozpacz i zmartwienie.

Janek nic nie wie, lecz odczuwa, że dzieje się w tej chwili coś strasznego i spogląda naprzemian na Żarskiego, to na ślepą, starając się zrozumieć, co się stało. Marcin, pogrążony w zadumie, nie widzi oczu malca, tak wymownie zadające mu pytania. Co zaś do staruszki, ta, po nagłym wysiłku, na jaki się zdobyła parę minut temu, wydaje się obecnie zupełnie wyczerpaną. Siedzi jak martwa na krześle, jakby utraciła przytomność i wszelkie czucie. Sądziłby można chwilami, że życie uciekło z jej ciała. Wszystkie siły ducha stargała w niej boleść niezmierna. Wie, że dziecięcia swego ocalić nie zdoła, jęczy więc jeno od czasu do czasu złamanym głosem:

— O, mój synu!... mój synu!...

Innych wyrazów nie jest w mocy wymówić, bo myśl rozstrojona już ich w zdania nie wiąże. Niekiedy tylko łkanie okropne wydziera się z jej piersi... Wtem łkaniu tętni serce matki, torturowane okropną męczarnią.

Marcin ciągle nieruchomy, otoczony trojgiem dzieci, pojmuje ogrom rozpaczy, rozdzierającej duszę ślepej, więc z sercem ściśnionem pyta się siebie:

— Co się stanie z dziećmi, co się stanie z biedną Klarą, jeśli matka postrada zmysły?

Zapanowało milczenie.

Wobec człowieka, przywalonego ciężkiem brzemieniem smutku, urzędnik policyjny i ajenci stoją zakłopotani. Obowiązek jednak nakazuje zakończyć przykrą scenę. Zatem pomocnik komisarza zwraca się do Pipersteina i Maślaka. Dostrzegł to Marcin.

— O chwilę... o chwilkę tylko cierpliwości proszę. Pozostawcie mi jeszcze pięć minut swobody, abym dzieci do serca przycisnął i pożegnał ich matkę... moją chorą żonę. Nie mogę odejść nie pożegnawszy się wprzódy... a pojmujecie panowie, jak ostrożnie zachować się muszę, żeby nie pogorszyć jej groźnego stanu zdrowia.

Zastępca komisarza skinął głową na znak, że zezwala.

Marcin wszedł do sypialni Klary.

Sina i wynędzniała jej twarzyczka, tonąca w półcieniu dnia jesiennego, wynurzała się niewyraźnymi zarysami z białego tła poduszek. Wyciągnięte na kołdrze niemal przezroczyste ręce, przestraszały nadzwyczajną chudością. Nie słyszała wejścia męża i nie widziała, gdy się zbliżył do łóżka, patrząc na nią, iskrzącym się wzrokiem.

Żarski pochylił się nad żoną i usta jego musnęły blade czoło Klary. Ona drgnęła i spojrzała na ukochanego.

— Nie słyszałaś, żem wszedł? — zapytał Marcin.

— Spałam – odpowiedziała – a śniły mi się dziwne rzeczy....

— O czemże śniłaś?

— O tobie. Widziałam cię oczami duszy... Byłeś bardzo smutny i bardzo nieszczęśliwy... Oczy moje musiały biedz za tobą daleko... bardzo daleko... do krainy wiecznych śniegów i lodu. U nóg twoich zakrwawionych brzęczały kajdany... ciężkie, żelazne kajdany. Och, ten sen... ten straszny sen, mój drogi! Gdybyś wiedział jak silne na mnie wywarł wrażenie. Otrzyj mi zimny pot z czoła... i połóż dłoń swoją na mojem sercu... Czy czujesz jak mocno bije?

On otarł czoło Klary ostrożnie i położył rękę na jej bijącem sercu. Potem ucałował twarz chorej gorąco, przeciągle – i ukląkł przy łóżku. Lica, pałające ogniem, zanurzył w pościeli, jakby chciał ukryć oczy od łez czerwone... Walczył z rozpaczą całą siłą woli.

Wtedy Klara podniósłszy się nieco i na łokciach wsparta, szepnęła słodkim głosem:

— Mój Marcinie najdroższy! zmartwiłeś się czemś bardzo, a przyczyny zmartwienia nie chcesz mi wyjawić... Chociaż staraliście się mówić cicho... z tamtąd, z jadalnego pokoju dolatywał mnie dźwięk głosów obcych i echo kroków mi nieznanych. Są tam ludzie, których nigdy nie widziałam... Czuję, że to oni, wyrządzili ci jakąś wielką przykrość... a może i krzywdę... że w dom przynieśli ze sobą nieszczęście...

— Mylisz się, Klaro...

— Czy naprawdę się mylę?

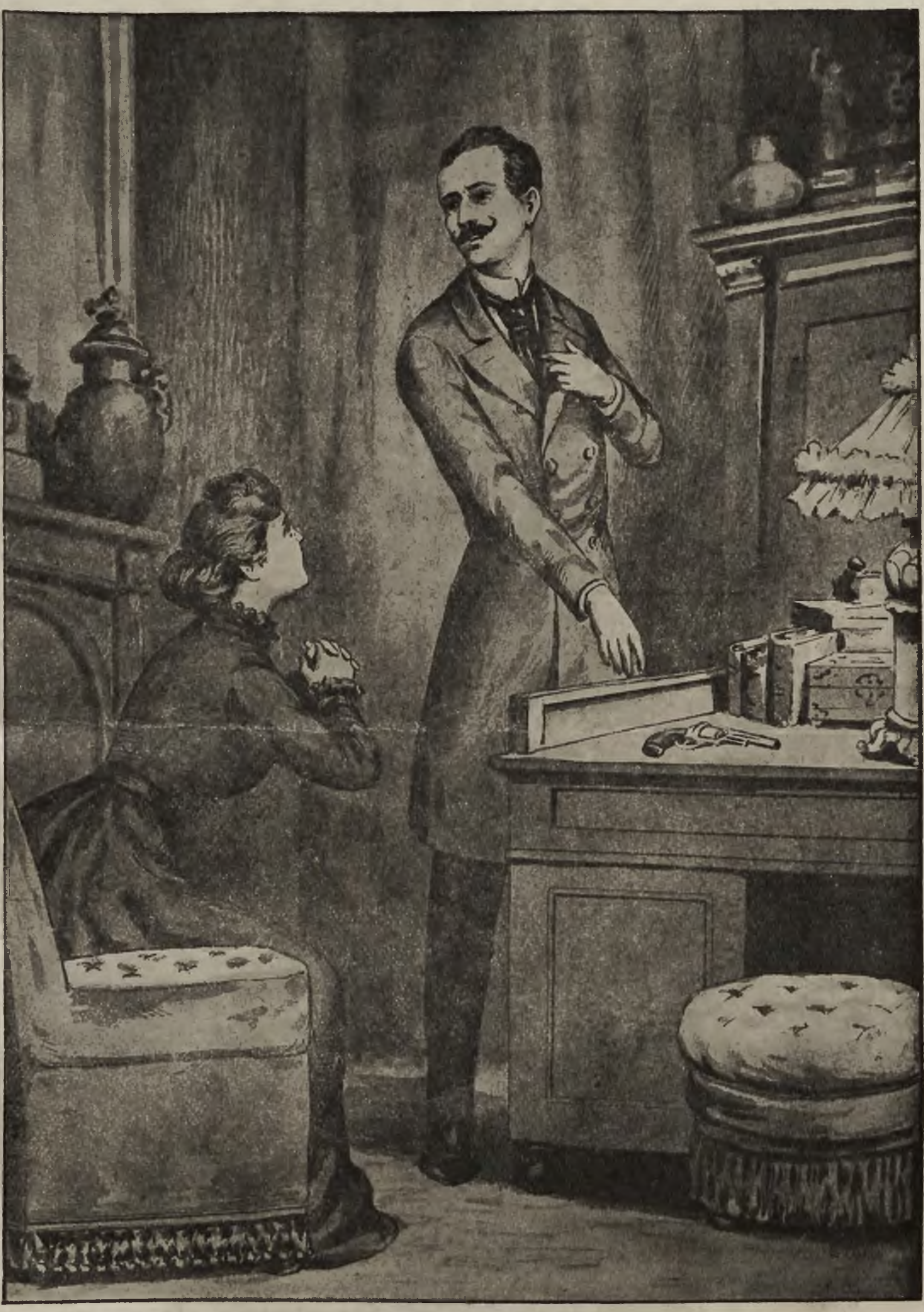
— Przysięgam ci, najmilsza!

Klara zawsze wierzyła mężowi, teraz zaś więcej niż kiedykolwiek pragnęła mu wierzyć, więc głowa jej opadła na poduszki i oczy się przymknęły.

— Bądź zdrowa – rzekł Marcin, całując jej powieki. – Żegnam cię, mój skarbie!... Wyjeżdżam na dni kilka... w pilnym i ważnym interesie. Pozostaje przy tobie babcia, Sabinka, Zosia i mały Janek. Módl się z niemi i za nich codziennie... Modlitwy matek wysłuchane bywają zawsze!

— Modlitwy matek! — szepnęła Klara zdziwiona. – Czy to ty mówisz? ty... dotąd sceptyk i ateusz!... Wielkie jakieś nieszczęście musiało zmienić twoje przekonania...

On, raz jeszcze usta swoje do jej rąk przyci-



...rewolwer nabity. Jedna kula dla mnie, druga dla ciebie.

snął i bez odpowiedzi opuścił sypialnię. Wyszedł z niej zgarbiony, z głową pochyloną na piersi, chwiejnym krokiem. Czoło jego pokrywała czarna chmura troski. Ucałował każde dziecko po trzykroć i matkę przycisnął do łona, szepcząc jej do ucha prośbę jakąś, serdeczną, gorącą, wymowną... Poczem stanął przed pomocnikiem komisarza i rzekł niemal spokojnie:

— Jużem gotów do drogi... Jestem na pańskie rozkazy.

VII.

W piętnaście dni po opowiedzianych tu wypadkach, o piątej po południu, wykwintna kareta — na koźle której siedział rosły stangret, murzyn, zręcznie wymijający powozy i dorożki — zatrzymała się przed jednym z domów, przy ulicy Senatorskiej. Z karety wysiadła młoda i piękna kobieta, czarno ubrana. Weszła przez bramę w podwórze, które znać musiała dobrze, bo śmiało i pewnie zwróciła kroki ku niskim drzwiom na lewo. Po czem wbiegła szybko na pierwsze piętro. Tu zadzwoniła, a po chwili stary służący rozwarł przed nią szeroko podwoje.

— Pan mecenas jeszcze nie wrócił — rzekł kłaniając się nisko — lecz przed wyjściem polecił mi, abym panią poprosił o łaskawe zaczekanie na niego w salonie.

Wskazał ręką drzwi naprzeciw.

Marcelina weszła do wskazanego pokoju, nie odpowiedziawszy lokajowi ani słówka.

Mieszkanie, w którem się znalazła, było niegdyś jej panieńskiem pomieszkaniem. W niem pod opieką jednej z dalekich krewnych spędziła lat kilka przed ślubem. Kazimierz, który wiedział o tem, najął je przed kilku dniami i pospiesznie kazał umeblować, zawiadamiając ją równocześnie bilecikiem, że w lokalu, niegdyś należącym do niej, oczekiwać na nią będzie codziennie o zmroku. Nie chciał widywać się z ukochaną w pałacu, budzącym w jego umyśle przykre wspomnienia. Od śmierci hrabiego, unikał wszelkiego spotkania się z hrabiną, nie pragnął bowiem, aby plotkarska Warszawa zwróciła uwagę na jego miłość do pięknej wdowy.

Ojciec Kazimierza, Piotr Molski, sędzia śledczy, kilkakrotnie wzywał już Marcelinę do toczącego się śledztwa. Ani razu nie zmieszała się w jego obecności, chociaż badał ją podstępnie, surowo i ściśle. Rozumiała, że najlżejszy dowód wahania i niepewności zgubić ją może, więc przytomnie i rozważnie odpowiadała na wszystkie pytania, nie zdradzając głębokiego wzruszenia i obawy, ani brzmieniem głosu, ani wyrazem twarzy. Nikt z patrzących się na jej spokój, pełen godności i taktu, nie domyśliłby się pewnie, że ma przed sobą bohaterkę ohydnego dramatu.

Teraz, marząca i zamyślona, zdjęła z głowy kapelusz, zrzuciła z siebie okrycie i siadła przy kominku, na którym płonął świeżo rozniecony ogień, rzucający jaskrawe blaski na wytworne umeblowanie salonu.

Służący wniósł zapaloną lampę i wyszedł.

Ona czekała... czekała cierpliwie. Serce, gwałtownem, przyspieszonem tętnem biło w jej łonie. Kilka minut upłynęło w ciszy zupełnej. Poczem w przedpokoju rozległ się odgłos dobrze znanych Marcelinie kroków — i do salonu wszedł Kazimierz blady, mizerny, znużony do niepoznania.

— Przeczucie mi mówiło, że dziś cię zobaczę — zawołał, rzucając palto i kapelusz na krzesło.

Ona powstała, podbiegła do młodzieńca, położyła swoje śliczne rączki na jego ramionach i pełen miłości wzrok utopiła w jego oblicze.

— Czyś chory? — wyszeptała tkliwie. Oczy masz obwiedzione sinością... na gładkiem czole wystąpiły zmarszczki... w kruczych włosach twoich wiją się gdzie niegdzie, jakby srebrne nici... O, ty jesteś cierpiący... i bardzo cierpieć musisz...

Uśmiech, pełen goryczy, przemknął się po wargach młodego człowieka.

Jakże chcesz, żebym nie cierpiał? Strasznej sceny, nie wydrę z pamięci, Jestem przecie synem sędziego śledczego, prowadzącego sprawę. O, do prawdy, dziwna rzecz, że dotąd nie zwaryowałem! I dodał po chwili. — Ojciec mój dziś... jutro... badać mnie będzie, jak już ciebie badał. Zażąda tłómaczenia, dlaczego skłamałem, mówiąc, że dwa dni u was nie bywałem. No, i zmusi mnie może, że wszystko wyśpiewam, że mu wyznam całą prawdę.

— Tyżbyś mnie zdradził? — krzyknęła Marcelina. — Co? powiedziałbyś, że zamordowałam mego męża? Ależ to okropne! Wszakże mnie kochałeś... i kochasz jeszcze. Czy pragniesz mojej zguby? czy chcesz, żebym poszła na Sybir?... Czy nie pamiętasz, że gdybyś mnie był powstrzymał, nie udusiłabym hrabiego? Tobie, nie ośmieliłabym się stawić oporu. Tak, tak... więc zmuszony będziesz także wyznać swemu ojcu, że jesteś moim wspólnikiem!... Przecież, gdy on... on... dławił się i tchnienie tracił, nie pochwyciłeś mnie za ręce i nie odepchnąłeś od konającego; a gdy zawołałam: „Przetnij sznur! bo nie chcę śmierci tego człowieka“, ty odpowiedziałeś chłodno i obojętnie: „Już umarł“. C. d. n.



Ćwierćwiekowy jubil. bursy im. J. I. Kraszewskiego w Stanisławowie: Benedykt Siebauer, prezes wydziału Tow. Bursy polskiej.

Rozszarpany przez niedźwiedzicę.

(Do illustracyi tytułowej).

Ofiara spełnianych przez się obowiązków, czy też ofiara własnej nieostrożności – to jest pytanie, jakie zawsze nasuwa się nam na myśl, gdy słyszymy o takim wypadku, który skończył się śmiercią lub kalectwem, a który był spodziewany i jak miecz Damoklesa wisiał wciąż nad głową nieszczęśliwego osobnika, zanim nastąpiła katastrofa.

Dlaczego stawiamy sobie takie pytanie? O! bynajmniej nie dlatego, aby, usłyszawszy odpowiedź „ofiara własnej nieostrożności“, zmniejszyć przez to grozę wypadku, lecz dlatego, aby z tych słów wyciągnąć naukę, zwrócić uwagę tym, którzy posiadają zajęcie grożące ich życiu ustawicznem niebezpieczeństwem, że jedynie tylko najściślejsze, pedantyczne spełnianie przepisów ochronnych jest w stanie osłonić ich przed katastrofą.

Przerażający taki wypadek, spowodowany nieostrożnością a raczej niespełnieniem obowiązujących przepisów ochronnych, zdarzył się ubiegłego tygodnia w ogrodzie zoologicznym na jednem z przedmieść Łodzi w Helenowie.

W zwierzyńcu tamecznym potężna żelazna klatka mieściła w sobie parę niedźwiedzią, uchodzącą nawet za bardzo łagodną. Obsługiwał ją dozorca Andrzej Parczak, który był nawet na bardzo dobrej stopie z swojemi pupilami.

Dnia 24 zeszłego miesiąca Parczak około godziny czwartej po południu miał zabrać się do czyszczenia klatki niedźwiedziej, która była urządzoną w ten sposób, że przedzielała ją na dwie równe połowy silna stalowa krata o gęsto osadzonych prętach. Podczas czyszczenia dozorca miał obowiązek odsunąć kratę, przepędzić oba niedźwiedzie do jednej części klatki, a następnie, zamknąwszy kratę na klucz, mógł dopiero wejść do drugiej części klatki i wziąć się do pracy.

Parczak postąpił tak, jak mu nakazywały przepisy, zaniedbał jednak jednej najważniejszej rzeczy, którą sam uważał za bagatelkę lub niepotrzebny trud, mianowicie po wpędzeniu niedźwiedzi w jeden kąt klatki zasunął kratę, ale nie zamknął jej na klucz i bez obawy, nie przeczuwając żadnego niebezpieczeństwa, zabrał się do roboty. Tymczasem niedźwiedź w swej części klatki zachowywał się zupełnie spokojnie, ale niedźwiedzicy siadła jakaś mucha na nos i w chwili, kiedy Parczak był do zwierząt obrócony tyłem, niedźwiedzica jednem uderzeniem łapy odsunęła niezamkniętą kratę, poczem wbiegłszy do tej części klatki, w której był Parczak, z wściekłością rzuciła się na niego.

Zanim biedny dozorca zdołał pojąć, co się koło niego dzieje, rozszalałe zwierzę jednem uderzeniem łapy zdarło mu z głowy włosy wraz ze skórą i przewróciwszy na ziemię, poczęło się nad nim znęcać w najokropniejszy sposób.

Krzyk Parczaka zwabił innych dozorców, którzy w tej chwili pospieszyli mu z pomocą i zapędziwszy wreszcie rozwścieczoną niedźwiedzicę do drugiej części klatki, wydobyli biedną ofiarę własnej nieostrożności bez zmysłów, z połamanemi żebrami i rękami. Zawezwane pogotowie ratunkowe udzieliło Parczakowi natychmiast pierwszej pomocy i przewiozło go do szpitala imienia Poznańskich, gdzie tego samego dnia przed wieczorem skonał, mimo wszelkich wysiłków lekarskich, osierocając żonę i troje nieletnich dzieci.

Rycina nasza, zrobiona według nadesłanego z Łodzi szkicu, przedstawia tę straszną chwilę, w której niedźwiedzica, odsunąwszy kratę, zadaje pierwszy cios ś p. Parczakowi.



Ćwierćwiekowy jubileusz bursy im. J. I. Kraszewskiego w Stanisławowie: Dom własny bursy.

Bazary krajowego przemysłu.

Przed sześciu laty w chwilach krytycznych dla przemysłu lwowskiego, w chwilach upadku Kasy oszczędności, garść ludzi dobrej woli powzięła myśl podniesienia przemysłu i handlu ojczystego, a wyrugowania tego, co obce, co niemieckie, co, posiadając markę zagranicy, było drogie i gatunkiem nie lepsze od wyrobu krajowego.

Zawiązany w tym celu „Krajowy Związek przemysłowy“ ze śmiesznie małym kapitałem zakładowym 5000 koron, rozpoczął swą działalność wśród małego zainteresowania się ogółu bez szerszego poparcia — poparcie to trzeba było wywalczać na każdym kroku ciężką i żmudną pracą.

Cel jednak osiągnięto: dziś obrót instytucyi przewyższa sumę dwóch milionów koron, a pięć bazarów pomyślnie się rozwijających wielkie oddaje usługi przemysłowi krajowemu, podnosząc jego poziom i zwiększając zapotrzebowanie. Bazary te znajdują się we Lwowie, Krakowie, Nowym Sączu, Przemyślu i Wiedniu (Spiegelgasse 21).

Jedną z największych może zasług bazarów przemysłu krajowego jest rozpowszechnianie swojszczyzny, a więc stylu zakopiańskiego, stosowanego do umeblowania, ubrania, galanteryi, jubilerstwa i t. p.

Dział ten dawniej bardzo mało w handlu uwzględniany, dziś znacznie się rozwinął i — powiedzieć możemy — przedstawia najważniejszy przedmiot handlu w bazarach: wyroby są tanie, mocne, a nadewszystko gustowne i pięknie wykończone.

Podając w numerze niniejszym zdjęcie domu, w którym mieści się bazar krajowy we Lwowie, zaznaczamy, że w miarę zbierania dalszych danych, dotyczących „Bazarów“, nie omieszkamy zaznajomić czytelników z działalnością pożyteczną tej instytucyi.

Ćwierćwiekowy jubileusz Bursy im. J. I. Kraszewskiego w Stanisławowie.

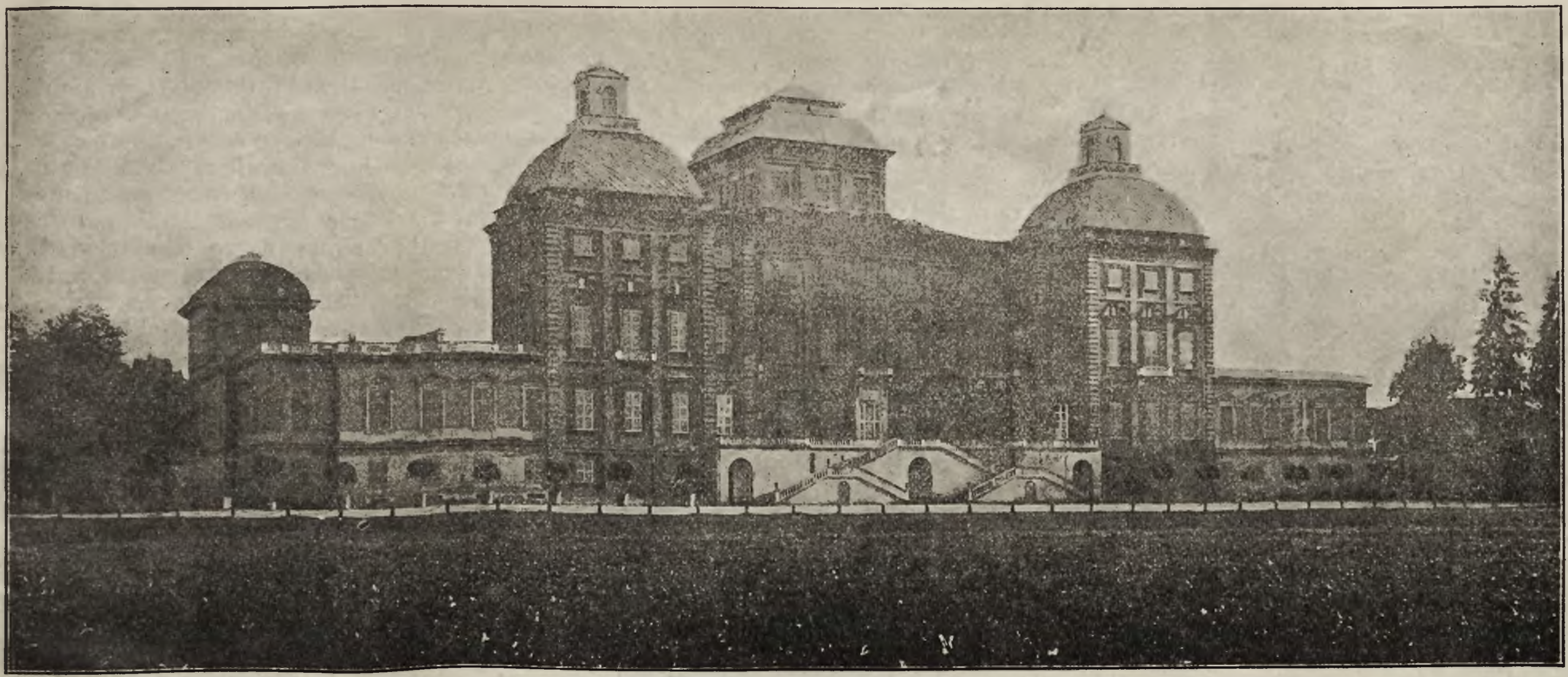
Prawo do oświaty, pomimo jej rzekomej powszechności, nie przestało być u nas udziałem tylko niektórych warstw ludności i pewnych jednostek. Drożyzna oświaty, podatek nakładany na społeczeństwo w postaci dotkliwych opłat szkolnych, wysoka cena książek i przyborów naukowych, przymus mundurkowy wreszcie, specyalnie dla Galicyi z pomiędzy wszystkich krajów austryackich istniejący, sprawiają, że prawo to do oświaty,



Bazary przemysłu krajowego: Dom, w którym się mieści bazar lwowski.



Bazary przem. kraj.: Serdaki i peleryny zakop. sprzedawane w baz. lwow.



Pałac księcia Piemontu: Miejsce urodzenia następcy tronu włoskiego.

szczególnie wyższego stopnia, staje się niestety przywilejem tylko niektórych warstw lepiej od losu uposażonych.

Przystęp do owego stołu biesiadnego, do oświaty w wyższych zakładach naukowych, byłby dla biedaków zupełnie uniemożliwiony, gdyby nie istnienie burs i zakładów fundacyjnych, powołanych do życia, już to przez szlachetne jednostki, już to przez grupy ludzi wiążących się w Towarzystwa dla ułatwienia upośledzonym od losu korzystania z „publiczności" oświaty w zakładach średnich i wyższych naukowych.

Jednym z takich humanitarnych zakładów jest stanisławowska Bursa im. J. I. Kraszewskiego, która w tych dniach święciła ćwierćwiekowy jubileusz swojego istnienia.

Powstała ona r. 1879 za inicyatywą p. Piotra Parylaka, ówczesnego profesora stanisławowskiego gimnazyum, a późniejszego pierwszego dyrektora polskiego gimnazyum w Cieszynie. Szlachetnemu dziełu sprzyjał szczęśliwy los. Z małych początków urósł zakład, jeden z pierwszych w kraju tego rodzaju. W pierwszym roku przyjęto na koszt funduszowy tylko siedmiu wychowanków. Liczba ta w przyszłym roku już się podwoiła i stale wzrastała i dosięgła dzisiaj poważnej cyfry 42; przez lat 25 istnienia swojego zaś wyprowadziła bursa ta na ludzi 400 przeszło chłopaków, wszystkich niemal z stanu najuboższego pochodzących. Wielu z pomiędzy nich zajmuje dzisiaj poważne stanowiska, ciesząc się powszechnym szacunkiem swoich współobywateli. Bursa przybrała nazwisko nestora polskiej literatury Józefa Ignacego Kraszewskiego, którego niepomierne zasługi uczcił roku 1879 właśnie świetnym jubileuszem kraj cały. Wybór nie mógł być chyba trafniejszy, stawiał bowiem przed oczy wychowankom bursy olbrzyma pracy za przykład, niedościgłego pod tym względem wzoru dla obecnych, a zapewne i dla wszystkich przyszłych pokoleń.

Uroczystość ćwierćwiekowego jubileuszu Bursy im. Kraszewskiego, jaka się w dniu 22 b. m. tutaj odbyła, w gmachu jej własnym, bo z biegiem lat i do tego przyszła, była przeglądem niejako zasług obywateli, którzy w tem szlachetnem dziele współdziałali przez ubiegłe ćwierć wieku. Oto ich cały poczet: Przewodniczącymi bursy byli kolejno pp.: Stanisław Brykczyński, marszałek powiatu i poseł na Sejm, Wojciech hr. Dzieduszycki z Jezupola, prałat ks. kan. Jakób Kerschka, proboszcz stanisławowski, Gerard Festenburg, dyrektor kolei, Leopold Majewski, nadradca skarbu, wreszcie inż. Benedykt Siebauer, inspektor kolejowy, którego wizerunek podajemy. Dyrektorami bursy tej byli w tym czasie pp.: Piotr Parylak (1879—1882), ks. Jan Eiselt (1882—1886), prof. Julian Kostecki (1886—1889), ks. Jan Eiselt (1889—1892), prof. Paweł Bryła (1892—1899), ks. prof. Szczęsny Malarski (1899—1904).

W uroczystości jubileuszowej wzięli udział najpoważniejsi obywatele naszego miasta. Przemawiali obecny prezes p. Siebauer, jeden z pierwszych wychowanków bursy, obecnie komisarz Dyrekcyi skarbu p. Leszczyński, ks. kan. Eiselt, dwaj bursacy, wreszcie uproszony do udzielenia swojego arcypasterskiego błogosławieństwa, a bawiący chwilowo w mieście naszem arcybiskup orm.-kat. ks. Theodorowicz, który roznuł przed słuchaczami całe pasmo drogocennych myśli i prawdziwy otworzył przed nimi skarbiec duchowy.

Z naszej strony zasyłamy szlachetnemu dziełu na drugie 25-lecie: „Szczęść Boże!". *s. b.*

Pałac księcia Piemontu.

Nowonarodzony następca tronu włoskiego przyszedł na świat w pałacu Racconigi, położonym o kilka wiorst od Turynu.

Pałac ten, w końcu XVI. wieku powstały różne przechodził koleje i pod względem architektonicznym różnym podlegał zmianom, stosownie do przeznaczenia swego. Był początkowo bogatym pałacem, następnie klasztorem kobiecym, wreszcie zamkiem wasalnym, wybornie ufortyfikowanym — dziś jako rezydencya królewska zachował jedynie front, odnoszący się do epoki, w której powstał.

Siedzibą królewską pałac Racconigi stał się podczas panowania króla Piemontu Karola Alberta, ojca Wiktora Emanuela II, kiedy — jako miłośnik sztuk pięknych — rezydencyę swą pięknie przyozdobił, zakładając wokół niej przepiękny park, przez który przepływa mała rzeczka la Macra.

Część pałacu, dostępna dla zwiedzających, przeznaczona jest na pamiątki, pozostałe po królowej Helenie — jest to rodzaj muzeum, w którem zgrupowano to wszystko, co dotyczyło królowej, przepędzającej bardzo chętnie dni swego żywota w tej przepięknej miejscowości.

Dziki mord w Warszawie.

Zazdrość to jedno z tych uczuć, które, wpiwszy się w serce człowieka, są zdolne popchnąć go tak samo, jak pragnienie zemsty do najpotworniejszych zbrodni.

Ileż to różnych głośnych i cichych tragedyj rozgrywa się w życiu ludzkiem na tle tej brzydkiej przywary. Iluż to ludzi sprowadziła ona na bezdroża, iluż to ludziom złamała ona życie raz na zawsze, w ilu wypadkach była przyczyną łez i cierpienia, a ile razy włożyła w ręce człowieka sztylet lub rewolwer szepcząc mu: „zabij"! „zabij"!...

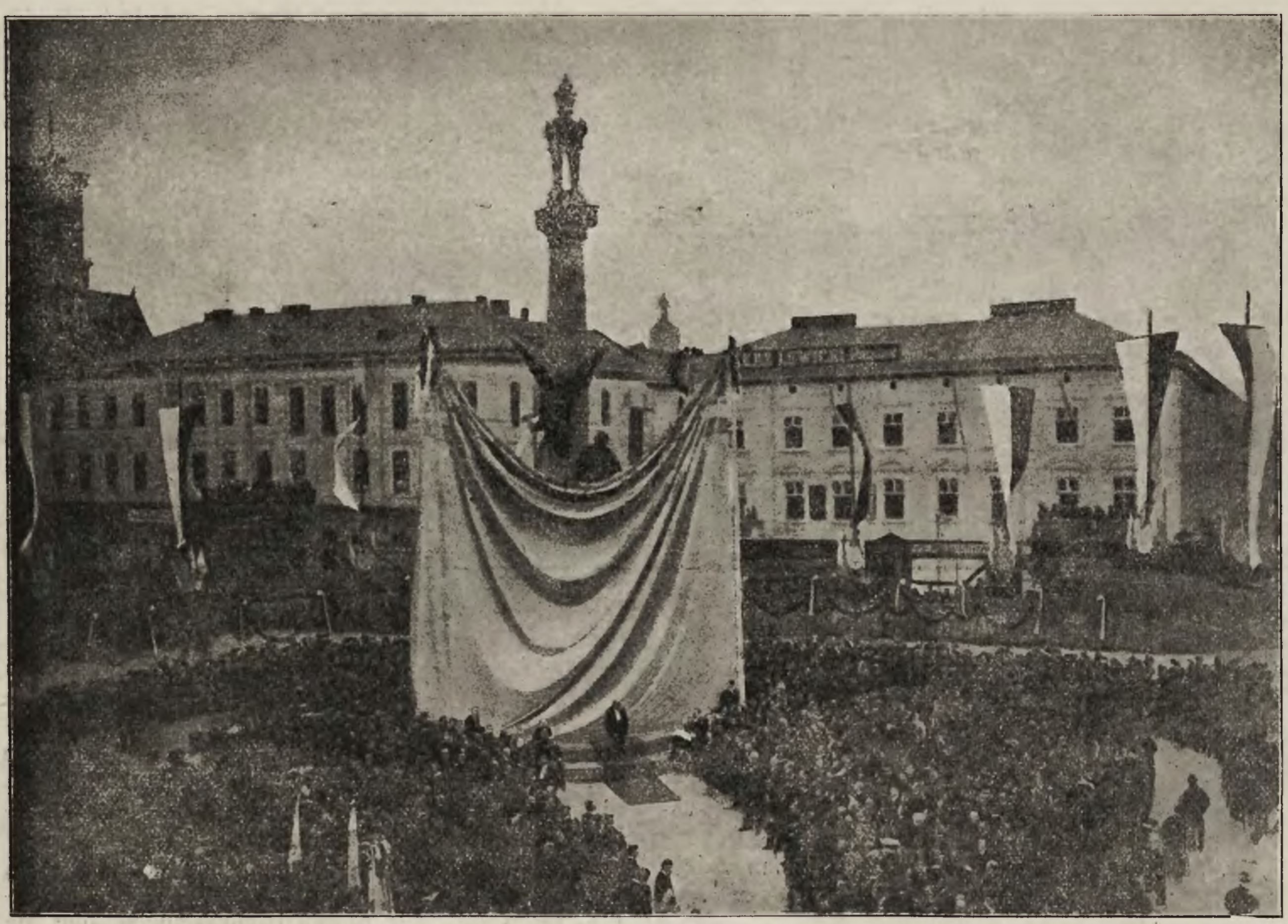
Świeżo właśnie na bruku warszawskim zdarzyła się taka potworna zbrodnia, a raczej dziki mord połączony ze znęcaniem się nad trupem ofiary, pod którego strasznem wrażeniem pozostaje całe miasto, który wstrząsnął umysłami wszystkich mieszkańców syreniego grodu.

W domu pod l. 10, przy ulicy Terespolskiej zamieszkałej przeważnie przez uboższą ludność rękodzielniczą u dziadków swych przebywała niejaka Andzia Racówna, ładna dwudziestodwu-letnia dziewczyna.

Racówna zapoznała się z niejakim Józefem Michałowskim, a piękność jej zrobiła na nim tak wielkie wrażenie, że zakochał się w dziewczęciu i oświadczył o jej rękę.



Dziki mord w Warszawie: *Józef Michałowski znęca się nad trupem zamordowanej przez siebie Andzi Racównej.*



Adamowi Mickiewiczowi – Lwów. Fot. Bahrymowicz, Lwów.
Prezes komitetu prof. dr. Radziszewski oddaje pomnik miastu w opiekę.

Michałowski niedługo grał jednak rolę narzeczonego Racównej. Wkrótce bowiem przekonawszy się, że jego ubóstwiana należy do rzędu lekkomyślnych dziewcząt i o moralności ma bardzo słabe pojęcie, porzucił ją i ożenił się z inną.

Uczuć jednak, jakie żywił w swem sercu dla pięknej Andzi, nie umiał stłumić i po pewnym czasie, jako przyjaciel, zaczął się z nią znów widywać, a nawet zachodzić do niej do pomieszkania. Miłość jego wtedy rozgorzała jeszcze bardziej i Michałowski, wiedząc, że nie sam jeden jest wybrańcem losu, że Andzia sercem swem dzieli się także z innymi, często urządzał jej sceny zazdrości.

Racówna jednak nie zwracała uwagi na te wybuchy Michałowskiego, śmiała się z nich, a nieraz sama wywoływała je naumyślnie, opowiadając Michałowskiemu o różnych swych przygodach i wielbicielach. Nie wiedziała, że igra z ogniem.

W sercu Michałowskiego wzrastała wciąż miłość do Racównej, ale wzrastała także i zazdrość o nią. Ta zazdrość popchnęła go do strasznego czynu.

Ubiegłego tygodnia zaszedłszy do Racównej, podczas nieobecności jej dziadków, podrażniony jej przechwałkami uchwycił nóż leżący na stole i zadał jej trzy pchnięcia, dwa w okolicę gardła, a jedno w bok i to pchnięcia tak straszne, że Racówna w tej chwili zakończyła życie.

Michałowskiego ogarnął jednak taki szał, że zgon kochanki nie zdołał go zaspokoić. Po śmierci rzucił się na trupa biednej dziewczyny i zaczął się nad nim znęcać, poczem dopiero umknął z pomieszkania...

Gdy dziadkowie Racównej nadeszli znaleźli na kanapie broczące w kałuży krwi zwłoki wnuczki z wydłubanemi oczyma i wyrżniętymi ohydnie policzkami...

Michałowskiego tego samego dnia aresztowała policya warszawska i osadziła w więzieniu, gdzie do popełnionej zbrodni przyznał się z całą otwartością.

Adamowi Mickiewiczowi – Lwów.

Lwów, 30 października.

...„Przeciw nim świeci jasno wąska zaostrzona,
„Jak głaz bodący morze reduta Ordona“...

Przeciw nim, tym wrogom naszym, co nie tylko wolność, ale myśl, ale duszę polską chcieliby wydrzeć nam z piersi, i wynarodowionych widzieć u stóp swoich, świeci jasno wąska, zaostrzona kolumna poświęcona czci największego naszego geniusza, co kochał i cierpiał za miliony, a kolumna ta widokiem swym budzi w nas miłość rodzinnego kraju, rozpala i podtrzymuje ten święty ogień, co winien zawsze w naszych sercach płonąć!..

I doczekał się wreszcie Lwów tej chwili, w której najpiękniejszą część miasta ozdobił pomnik największego naszego poety i myśliciela; doczekał się tej chwili, kiedy wspaniała kolumna poświę-



Adamowi Mickiewiczowi – Lwów Fot. Bahrymowicz, Lwów.
Prezydent miasta dr. Małachowski odbiera pomnik imieniem gminy.

cona czci wieszcza strzeliła ku niebu z poza kryjących ją zasłon i głosząc niespożytą chwałę jego zaczęła wskrzeszać w naszych sercach ideały i tę gorącą, zdolną do wszystkich poświęceń miłość, która znaczyła każdy krok, każde pociągnięcie pióra Adama Mickiewicza!...

I daj Boże, aby ów mistyczny znicz, gorejący u szczytu tej kolumny i w sercach naszych zapłonął! Daj Boże, by iskierka przykryta drwem prywaty, jasnym buchnęła płomieniem i strawiwszy te drwa zostawiła w duszach naszych nie wygasły święty żar miłości bratniej, miłości ojczyzny!...

* * *

Przebieg uroczystości:...

Jesienna szaruga — zimne dżdżyste powietrze, ale gorące dusze, ale serca pełne tej dziwnej mocy, jaka rodzi się zawsze podczas każdej narodowej uroczystości!

Dusze przepełnia radość, a łza w oczach się kręci, łza żalu za minionymi, szczęsnymi czasami, łza radości i dumy, że mimo wszystko, mimo wszelkie cierpienia nie przestaliśmy być Polakami, że przemoc wroga zagrabiwszy nasze ziemie, nie zdołała przecież zagrabić dusz naszych!...

I wszystkiemi ulicami, z wszech stron tłum płynie falą do archikatedralnego kościoła dziękować Bogu za tę radosną chwilę.

A przed ołtarzem, gdzie król Jan Kazimierz, wygnany przez szwedzką potęgę, powróciwszy szczęśliwie do kraju składał swe śluby, korzy się w modlitwie dziękczynnej arcybiskup ksiądz dr. Bilczewski i imieniem zgromadzonych błaga Pana Zastępów, aby jak nie zapomina o najmniejszym robaczku, nie zapominał i o tych, których przodkowie w obronie wiary świętej strumienie krwi przelali.

A kościół przepełniony: cechy rzemieślnicze, Sokoli, straż ochotnicza pożarna, posłowie, dygnitarze krajowi i rządowi, literaci, dziennikarze, artyści i tłumy publiczności wypełniają główną nawę i wszystkie kaplice po brzegi.

Na kazalnicę wchodzi ksiądz dr. Głąb i z ust jego padają złote słowa pełne najwznioślejszych myśli i haseł...

Zakiełkuje ten powiew w sercach wiernych, przypomni im te dawne czasy, gdy tylko w imię boże szło się do boju i w imię boże zwyciężało się zawsze.

A równocześnie tak w kościele ormiańskim jak i w świątyniach wszystkich innych wyznań odbyły się tak samo dziękczynne nabożeństwa.

Te deum laudamus! Z piersi obecnych wzniósł się ten hymn, którym każde zwycięstwo święcili nasi przodkowie i lud pokłoniwszy się Bogu pośpieszył hołd złożyć wieszczowi.

Zakryty pomnik otoczyła dokoła żywa fala, a prezes komitetu dla budowy kolumny prof. dr. Radziszewski wstąpiwszy na trybunę zdał relacyę z historyi budowy, ofiarował pomnik i oddał go w opiekę miastu, poczem sekretarz komitetu pan Michał Rolle odczytał akt pamiątkowy.

Prezydent miasta dr. Małachowski imieniem gminy odebrał pomnik i poświęciwszy część swej mowy pamięci wieszcza, ustąpił głosu reprezentantowi młodzieży p. Downarowiczowi, po którym przemówił włościanin, lwowski poseł na Sejm Jakób Bojko.

Jeśli co, to ten głos chłopa polskiego najwięcej mógł ucieszyć naszego wieszcza, który nie żądał nigdy sławy, nie pragnął nigdy pomników, lecz jedną myśl miał zawsze, myśl, aby książki jego doszły do rąk wieśniaków, aby rozbudziły ich drzemiące serca i dusze...

Przedstawiciel robotników Józef Hudec także imieniem szarego znojnie pracującego tłumu złożył hołd poecie, poczem, gdy u stóp pomnika złożono przeszło dwieście wieńców, odbył się wspaniały pochód, kulminacyjny punkt uroczystości.

* * *

Dla uzupełnienia tego krótkiego sprawozdania musimy wspomnieć, że miasto wydało ucztę dla przybyłych na uroczystość gości i dla twórcy pomnika artysty rzeźbiarza Antoniego Popiela; że tego samego dnia po południu hołd wieszczowi przed pomnikiem złożyła wszystka młódź szkolna; że i teatr w tym dniu odstąpił od zwyczaju święcenia uroczystości narodowych modernistycznemi sztukami, a wystawił niedokończony niestety, wspaniały fragment twórcy Dziadów — „Konfederatów Barskich“.

Święto Adama Mickiewicza we Lwowie, przyczyniło się do podniesienia i zgalwanizowania ospałych dusz naszych, za co tym, których zasługą jest wzniesienie kolumny, należy złożyć dank szczery, serdeczny!...

Poświęcenie kościoła Najśw. Maryi Panny w Kaczyce na Bukowinie.

Na uczczenie Najśw. Maryi Panny w tym roku jubileuszowym, odbyło się w niedzielę w Kaczyce, uroczyste poświęcenie nowego kościoła, wzniesionego staraniem OO. Misyonarzy.

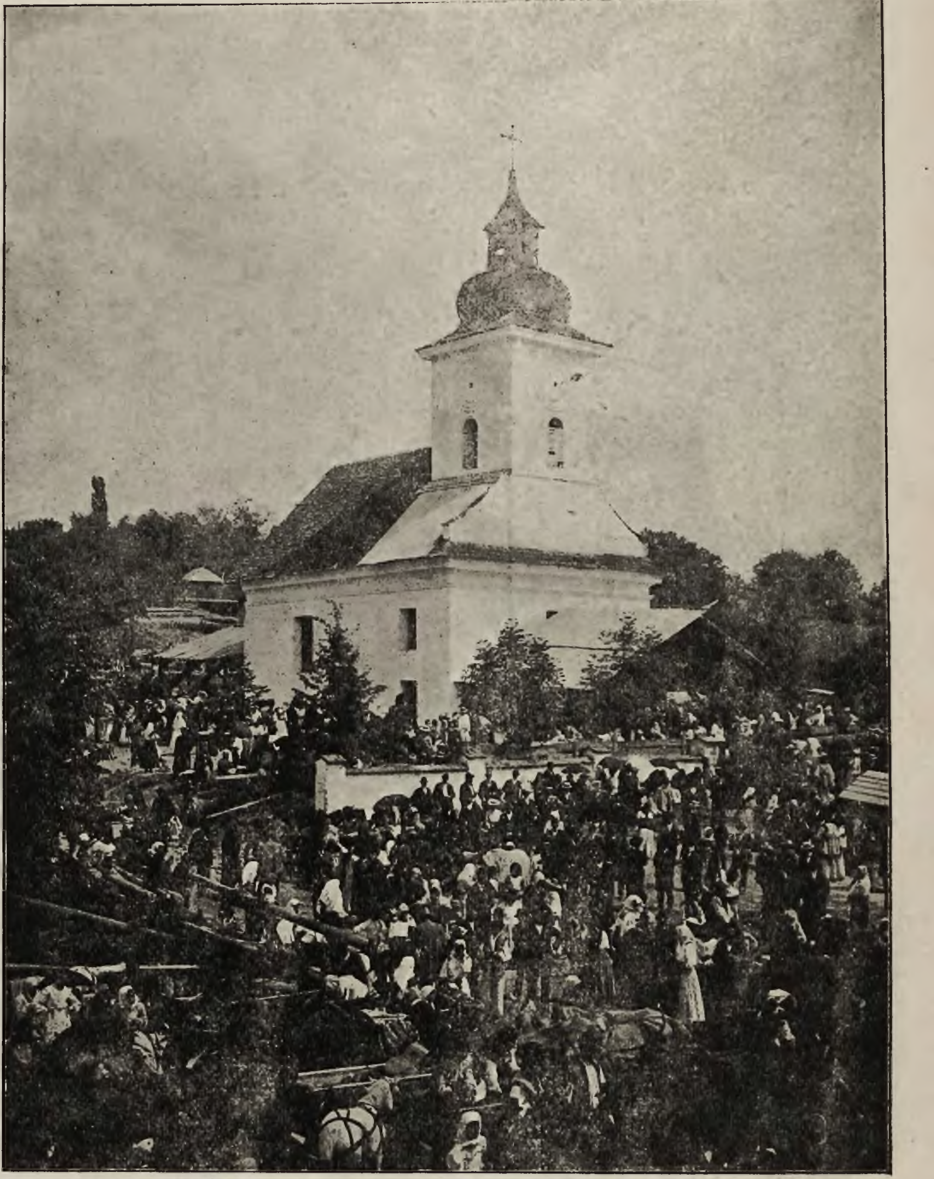
Piękna i urocza wśród wzgórz położona miejscowość przybrała w tym dniu odświętną szatę. Z domków powiewały chorągwie o barwach przeważnie kościelnych, a szczególnie pięknie ozdobione były saliny, w których zatrudnieni są w większej części nasi robotnicy. Na uroczystość tę przybyli Najprzew. księża Arcybiskupi J. E. Bilczewski i Weber z proboszczem ks. infułatem Schmiedem z Czerniowiec i liczne duchowieństwo z całej okolicy.

W sam dzień uroczystości oznajmiły o godzinie 8 rano poważne tony dzwonów z wieży kościelnej o rozpoczęciu się nabożeństwa.

Wnętrze kościoła zaczęło się zapełniać publicznością. — Koło ołtarza pięknie ozdobionego i oświeconego setkami świec, zajęli miejsca dostojnicy kościelni, przyjezdne duchowieństwo, stowarzyszenia ze sztandarami, dygnitarze świeccy i deputacye prawie ze wszystkich okolicznych miejscowości Bukowiny.

Poświęcenia kościoła dokonał J. E. Naj. Arcyb. Bilczewski, poczem sumę pontyfikalną celebrował Najprzew. ks. Arcybiskup Weber. Równocześnie wygłoszono kazania w języku niemieckim i węgierskim. Po odprawionej modlitwie przy ołtarzu, udzielił Arcyb. ks. Bilczewski błogosławieństwa tym tysiącom wiernym, które w pokorze pochyliły ku ziemi głowy.

Na tem zakończyła się ta piękna uroczystość, która swym podniosłym charakterem zapisze się na długo w pamięci jej uczestników.



Fot. Krzanowski, Czerniowce.

Poświęcenie kościoła Najśw. Maryi Panny w Kaczyce na Bukowinie.



Wymordowanie niemieckich misyonarzy: Szczep Bainingów zamieszkujący wyspę Nowe Pomorze na archipelagu Bismarcka. (Treść na str. 10).



„Uczony koń" zdemaskowany: „Mądry Hans" popisujący się przed publicznością.

„Uczony koń" zdemaskowany!

Herr Je! — jak powiada Berlińczyk — ostatnią najnowszą senzacyę pruską spotkała gruntowna kompromitacya i w dodatku autorem tej kompromitacyi był Niemiec, który, nie zważając na przysłowie: „zły to ptak, co własne gniazdo kala", zdemaskował humbug nauczyciela końskiego, pana von Ostena, podziwianego przez cały niemiecki świat mentora — „mądrego Hansa". — Na pytanie, jakie się wśród przyrodników błąka, czy zwierzęta oprócz instynktu są obdarzone i rozumem, pan von Osten odpowiedział „t a k" i ofiarował żywy dowód, ośmioletniego ogierka „Hansa", którego sam... wykształcił.

I „mądry Hans" wzbudził niebywały podziw nietylko wśród szerokich kół publiczności berlińskiej, oglądającej go za wcale przyzwoitą opłatą, lecz także wśród uczonych zoologów i hippologów, przed którymi produkował się swoim rozumem, wiedzą i umiejętnościami.

Dzienniki całe szpalty poświęcały mądremu koniowi i wpadły w formalną orgię zachwytów nad wykształconym „Hansem". Dziennikarze interwiewowali go, całemi godzinami wsłuchiwali się w jego pukania kopytkiem, bo „mądry Hans" mimo wszystkich swych zdolności zapomniał nauczyć się mowy ludzkiej i w ten sposób odpowiadał na zadawane mu pytania, wydawali biuletyny o stanie jego zdrowia, pisali o nim i pisali bez końca.

„Mądry Hans" dostąpił nawet tego zaszczytu, że przedstawiono go cesarzowi Wilhelmowi. Mądry cesarz oglądnął go od stóp do głów, zbadał jego zdolności, a jeśli nie użyczył mu jakiejś honorowej odznaki, to zapewne tylko dlatego, że „Hans" nie mając munduru, nie miałby jej gdzie przypiąć z pewnością... Ale cesarz wyraził mądremu koniowi swoje najwyższe zadowolenie z jego postępów w nauce...

Hans mógł istotnie zadziwić wszystkich, bo czegóż on nie umiał! Czytał znakomicie, wypukując kopytkiem pewną ilość uderzeń, oznaczających daną literę. W ten sam sposób rozwiązywał cztery działania arytmetyczne, oznaczał pokazane mu kolory, godzinę wskazywaną przez zegarek, znał się na nutach i tonach, rozpoznawał z fotografii przedstawione mu osoby, słowem, dzięki swemu tak szerokiemu wykształceniu, był bohaterem dnia przez długi czas, aż wreszcie...

Aż wreszcie przedstawiono go wydziałowi niemieckiego Związku Towarzystw dla ochrony zwierząt. W wydziale tym znalazł się niedowiarek, pewien budowniczy. Wyjął on zegarek i stanął przy „Hansie" w ten sposób, że koń widział zegarek, ale nie widział swego pana, a von Osten nie mógł zobaczyć zegarka.

— No, Hans! która godzina? — zapytał budowniczy?

„Hans" niespokojnie obwąchiwał zegarek, ale mimo powtórzonego raz i drugi pytania nie dał żadnej odpowiedzi.

Budowniczy roześmiał się serdecznie, a pan von Osten z iście pruską delikatnością obsypał go całym stekiem obelg i kazał mu się natychmiast wynosić. Wraz z budowniczym cały wydział opuścił „Hansa", którego zdemaskowano w tak sprytny sposób.

Sic transit gloria mundi!

O honor ministra.

W Budapeszcie toczył się ubiegłego tygodnia senzacyjny proces prasowy, w którym obok rozmaitych innych mniejszych lub większych osobistości społeczeństwa węgierskiego, rozchodziło się także o honor prezydenta węgierskiego gabinetu hrabiego Stefana Tiszy.

Peszteński dziennikarz Władysław Szenyes w całym szeregu artykułów ostro wystąpił przeciw byłym dyrektorom Węgierskiego Banku dla handlu i przemysłu, wśród których zasiadał i hrabia Tisza, zarzucając im, że z rozmysłem w wielu wypadkach działali na szkodę tej instytucyi powierzonej ich opiece.



O honor ministra: hr. Stefan Tisza.

W odpowiedzi na to obarczeni tak ciężkim zarzutem dyrektorowie wytoczyli Szenyesowi proces o oszczerstwo i przed budapeszteńską ławą sędziów przysięgłych odbyła się rozprawa, podczas której oskarżony zjawił się osobiście i przyjął na siebie pełną odpowiedzialność pod warunkiem, że trybunał pozwoli mu przeprowadzić dowód prawdy.

Trybunał z jednej strony zgodził się na to, ale z drugiej znów uchwalił nie przesłuchiwać oskarżycieli Szenyesa, aby nie byli skutkiem tego zmuszeni do zeznań, któremi mogliby się sami oskarżyć!

Stosownie do tej uchwały zapadł i wyrok. Rozprawa, która trwała cały dzień i całą noc aż do godziny szóstej rano, skończyła się skazaniem Szenyesa na karę grzywny w kwo-

Japońskie straże pożarne.

Zdawałoby się, że w takiej Japonii, gdzie największe miasta składają się przeważnie z lekko budowanych, drewnianych domków, gdzie ludność ma szczególne zamiłowanie do rozmaitych illuminacyi i nie zna wprost zabawy bez puszczania ogni sztucznych, skutkiem czego pożary są na porządku dziennym — w pierwszej linii powinna być straż pożarna znakomicie zorganizowana.

Zdawałoby się tak, a przecież w rzeczywistości cywilizacya Japończyków na tym punkcie wiele pozostawia do życzenia.

Dopiero obecny mikado wziął sprawę straży pożarnych do serca i tak w Tokio, jak w Kioto oraz innych większych miastach swej ziemi wyposażył straże pożarne w przyrządy i przybory ratunkowe podług wymogów cywilizowanego świata

Ale i to nie wiele przyczyniło się do polepszenia stosunków, gdyż japońskim strażakom brak jeszcze wprawy w obchodzeniu się z nowym rynsztunkiem, a klasyczną wadą, której pozbyć się nie są jakoś wstanie, jest to, że przybywszy do ognia z całym taborem dopiero z rozpoczęciem akcyi ratunkowej spostrzegają — brak beczkowozów! Mają sikawki, ale nie mają wody! Sytuacya dla straży ogniowych bardzo przykra, ale w Japonii stale się powtarzająca!...

Z illustracyi, jaką podajemy, można osądzić jak prymitywne są narodowe przyrządy japońskie służące do walki z ogniem. Najlepszym zaś dowodem, że japońskie straże ogniowe są wcale nie tęgie, jest fakt, że w każdej miejscowości wznosi się żelazny budynek, znakomicie zabezpieczony przed ogniem, w którem ludność miejscowa przechowuje swoje wartościowe rzeczy i papiery.

A jakie są pożary w Japonii?

Oto, co pisze o tem, sławny podróżnik baron Korff:

...„W pogodną noc sierpniową około drugiej godziny przerwał nagle ciszę donośny głos dzwonów pożarnych. W jednej chwili całe miasto zerwało się z łóżek. O pół kilometra od hotelu, w którym zamieszkałem, wznosił się ku niebu szeroki słup ognia, a wicher rozwiewał na okół całe chmury iskier i rozrzucał płonące żagwie.

Temperatura dochodziła do dwudziestu sześciu stopni Reaumura, więc wszyscy spali przeważnie nago, a zbudziwszy się, nie mieli czasu myśleć o toalecie, gdyż pożar groził całemu miastu. Cudny widok! Nadzy Japończycy zewsząd zbiegają się, dźwigając małe sikawki, wiadra na wodę, drabiny i tym podobne historye; nadzy wdrapują się na dachy i przykrywają je mokremi płachtami...

A przyczyna pożaru? W pół godziny dowiedziałem się o niej. Kilku Japończyków ubezpieczyło się w nowopowstałem towarzystwie asekuracyjnem i — podpaliło swe domy, lecz bynamniej nie w chęci zysku, tylko dlatego, aby przekonać się, czy towarzystwo naprawdę wypłaci im premie"...

Tyle o pożarach i strażach ogniowych w kraju boskiego mikada.



Japońskie straże pożarne: Straż pożarna przy gaszeniu ognia.

cie 360 koron i trzymiesięcznego aresztu. Honor hrabiego Stefana Tiszy został sądownie ocalony, ale opinia publiczna oświadczyła się po stronie skazanego Szenyesa, gdyż — jak to część dzienników w swych sprawozdaniach z tej rozprawy zaznaczyła — z dowodów i zeznań świadków powołanych przez oskarżonego, niewinność skarżących zgubiła się w mglistej pomroce różnych niejasności“...

Balonem ponad Jungfrau.

Żegluga nadpowietrzna, sport nader niebezpieczny, posiada przecież mimo wszelkich niebezpieczeństw, jakie oddającym się mu grożą na każdym kroku, licznych zwolenników i niedziw, bo jakże to musi być przyjemnie wznieść się kilka tysięcy metrów w górę i mknąć z powiewem wichru, patrzeć na migające pod łódką balonu wsie, miasta, lasy, góry, doliny i rzeki!...

Wśród zwolenników fachowo poświęcających się temu sportowi obok sławnego Santos-Damonta, który czyni wciąż próby nad wynalazkiem swoim balonów dających się kierować dowolnie, pierwsze miejsce zajmuje jako „wilk powietrzny“ dziecko niebotycznych Alp, E. Spelterini, a jego podróże



Następca Wilhelma II: Księżniczka Cecylia Meklenburska.

balonem przez Alpy wzbudzają w całym świecie ogólny podziw.

Podróż taka to rzecz nie łatwa! Nadpowietrzny żeglarz musi dobrze obliczyć przestrzeń, jaką ma do przebycia, czas jakiego na odbycie tej drogi potrzebuje, wytrwałość balonu, który bądź co bądź zawsze przepuszcza gaz przez swą powłokę, a przytem powinien być przygotowany na wszelkie niespodzianki, jak naprzykład burze, zmiany wiatrów i t. p.

Spelterini już w roku 1897 puścił się balonem ze Sitten w dolinie Renu, a skierowawszy się na północny zachód przebył Alpy i wylądował na francuskiej ziemi. W cztery lata później puścił się znowu z wyżyn Rigi-Culmu i ze wschodniem wiatrem przeleciał ponad Toe. W tym roku przedsięwziął nową podróż, postanowił poszybować ponad dziki szczyt alpejski, ponad Jungfrau.

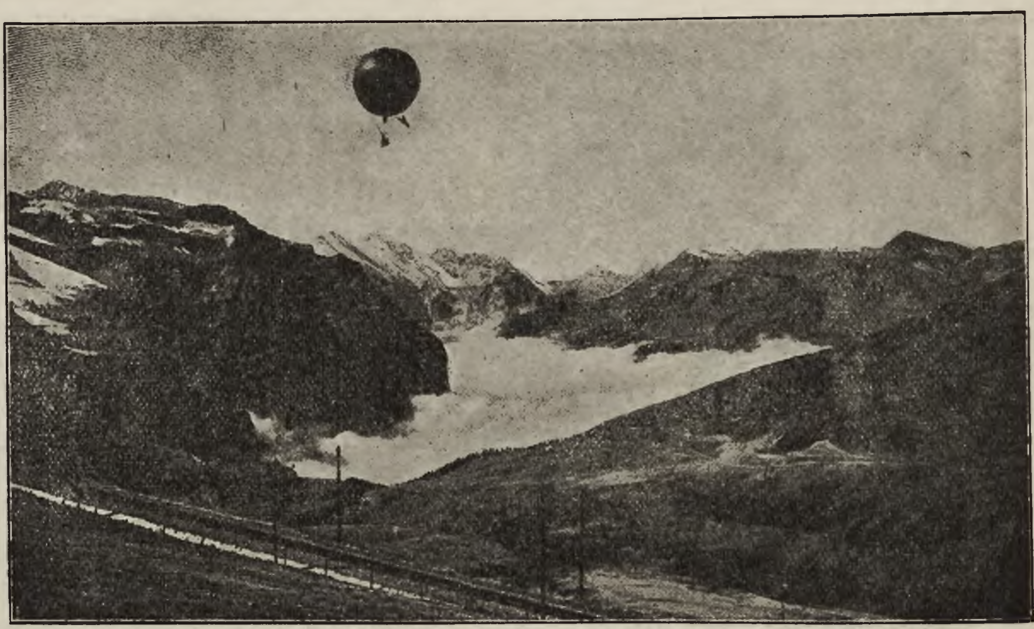
I ta niebezpieczna podróż udała mu się zupełnie. Spelterini wyszedł z niej bez szwanku i zdobył sobie nowe wawrzyny w historyi nadpowietrznej żeglugi.

Ostatnią podróż podjął Spelterini z wyżyn stacyi kolei prowadzącej na szczyt Jungfrau Eigerwand na balonie „Stella“ i wzniósł się stamtąd w powietrze dnia 20 września wraz z inżynierem Stoefflerem z Genewy.

Wzlot „Stelli“ odbył się zupełnie prawidłowo, ale zaledwie balon wystrzelił w górę wicher porwał go w kierunku „Mnicha“, a następnie pchnął go ponad Sulegg w stronę doliny sakseteńskiej, to jest w tę samą stronę, przez którą Spelterini przejeżdżał już po wzniesieniu się z Sitten. Ale w nadpowietrznej żegludze kierunek balonu wciąż się zmienia, co chwila żeglarze spotykają nowe niespodzianki. „Stella“ niebawem zwróciła się na południe, a przeleciawszy ponad lodowcami Breitfirnu i Aletschu, skierowała się ku groźnym szczytom Montblanc. Pominęła je jednak i zwróciła się na zachód, gdzie wpadła w gęste mgły unoszące się ponad szczytami Alp.

Położenie żeglarzy nie było do pozazdroszczenia: nie mogli zoryentować się, gdzie lecą i co mijają, bali się zrzucić balast i wznieść jeszcze wyżej, bali się otworzyć klapy balonu i spuścić na ziemię, aby nie utknąć przypadkiem na jakim samotnym niedostępnym lodowcu.

Wieczorem jednak mgły pierzchły i Spelterini poznawszy okolicę wylądował szczęśliwie w dolinie Egstlingeńskiej tuż przy drodze prowadzącej do Gilbachu. Podróże tego rodzaju budzą we wszystkich kołach ogromne zajęcie — rzecz nie dziwna, gdy się zważy, iż balony będą kiedyś w przyszłości głównym środkiem komunikacyjnym. Kierując się tem ogólnem zainteresowaniem i my wspominamy o ostatniej podróży Spelteriniego, podając równocześnie widok na Jungfrau i zdjęcie fotograficzne „Stelli“ w locie.



Balonem ponad Jungfrau: Spelterini wznosi się balonem w górę.



Następca Wilhelma II: Fryderyk Wilhelm następca tronu pruskiego.



Mnich. Finsteraarhorn. Lodowiec Gugi. Jungfrau i Silberhorn.
Balonem ponad Jungfrau: Pasmo Alp, ponad którem przeleciał w „Stelli“ Spelterini.

Następca Wilhelma II.

Następca cesarza niemieckiego Wilhelma II. przyszły król pruski i władca zjednoczonej Rzeszy niemieckiej książę Fryderyk Wilhelm zwrócił na siebie uwagę całego świata.

Książę żeni się, a na dozgonną towarzyszkę życia obrał mu ojciec księżniczkę meklembursko-szweryńską Cecylię, dziewczę wcale nie odznaczające się wielką urodą, ale zato będące w stanie podreperować nieco nadszarpane finanse rodziny Hohenzollernów.

Prasa niemiecka przepełniona jest teraz portretami młodej pary, która czas swego narzeczeństwa spędza głównie na... fotografowaniu się we wszelkich możliwych pozycyach i kostyumach, stojąco, siedząco, jadąco, słowem jak tylko ktoś sobie wymarzyć potrafi.

W prasie zagranicznej, gdy rozeszła się wieść o zaręczynach księcia Fryderyka Wilhelma, zaczęto i to nawet poważnie zastanawiać się nie tak nad fotografiami przyszłego władcy, jak nad jego charakterem, zdolnościami i pojęciami, które w przyszłości Niemiec ważną muszą odegrać rolę, skoro czoło księcia uwieńczy już korona.

Charakterystyczną zaś cechą tych roztrząsań jest to, że prasa ograniczyła je głównie do jednego pytania, mianowicie, czy młody książę w postępowaniu swem podobny będzie do ojca, czy też nie?

Zdaje się, że na owo pytanie należy odpowiedzieć krótko: „tak, podobny.“



Pogrzeb ś. p. Apolinarego Jaworskiego. Fot. Z. Klaften, Lwów.
Karawan ze zwłokami zmarłego rusza z pod domu żałoby.

Książę Fryderyk posiada bowiem tę samą, co ojciec, żądzę fotograficznego i portretowego uwieczniania się na każdym kroku, tak samo goni za oryginalnością, a że dotychczas mało wykazał takich stycznych momentów to tylko dlatego, że niedawno dopiero wypłynął na szeroką arenę.

Mimo to jednak zdarzył się mu już jeden taki klasyczny wypadek, którym mocno przypomina swego wszechstronnie utalentowanego ojca.

Książę Fryderyk, bawiący obecnie wraz z narzeczoną w zdrojowisku kąpielowem Baden-Baden, udał się ze swą przyszłą małżonką do pewnej restauracyi, gdzie koncertowała cygańska muzyka. Książę, zapatrzony w oczy swej lubej, zrazu spokojnie przysłuchiwał się walcom i czardaszom, lecz nagle przypomniał sobie, że i on miał kiedyś skrzypce w ręku, że i jego uczono, co to jest klucz wiolinowy.

Czemprędzej więc zerwał się z krzesła, wbiegł na estradę, wyrwał dyrygentowi z rąk skrzypce i począł grać...

I grał tak całą godzinę, spoglądając czule w lica swej narzeczonej, która omal nie rozpłakała się wzruszona wysokim talentem jego wysokości...

Idylliczna ta scena, pełna fałszywej afektacyi, nie mówiąc już o fałszach muzycznych, choć w części zapewnia nas, że przyszły władca Prus jest równie wszechstronnie utalentowanym, jak obecny.

Ambo meliores!...

Pogrzeb ś. p. Apolinarego Jaworskiego.

W dniu 27 października oddaliśmy ziemi śmiertelne szczątki ś. p. Apolinarego Jaworskiego, prezesa Koła polskiego.

Na smutny obrząd ten przybyli do Lwowa wszyscy ci, dla których zmarły mąż stanu był kolegą, przewodnikiem, dobrodziejem i obrońcą: całe społeczeństwo polskie miało tu swych przedstawicieli, czczących w zmarłym pamięć człowieka zasług społecznych.

Przed trumną ze zwłokami ś. p. Jaworskiego, złożoną na katafalku w kościele OO. Bernardynów, kłoniły głowę tysiące wśród ciszy i powagi.

Po odprawieniu modłów przez wyższe duchowieństwo krajowe, przybyłe na pogrzeb z ks. biskupem krakowskim kardynałem Puzyną, trumnę, podjętą z katafalku i wyniesioną ze świątyni, ustawiono na wielkim wozie żałobnym, poprzedzanym dwoma rydwanami, uginającemi się pod ciężarem licznych wieńców. Imponujący kondukt żałobny, wiedziony przez duchowieństwo łacińskie, greckokatolickie i ormiańskie, zwolna posuwał się przez plac Bernardyński i ulicą Piekarską, na której wszystkie latarnie osłonięto kirem, i kierował się ku cmentarzowi na Łyczakowie.

Gdy kondukt stanął nad otwartą mogiłą, gdy duchowieństwo obu obrządków odprawiło ostatnie modły, na wzniesienie wszedł marszałek kraju hr. Badeni i w podniosłych słowach uczcił pamięć zmarłego, podnosząc jego zasługi dla kraju rodzinnego. Imieniem osieroconego Koła Polskiego przemawiał jego wiceprezes i zastępca zmarłego hr. Wojciech Dzieduszycki, który, zaznaczywszy, kim był ś. p. Jaworski dla polskiej reprezentacyi w parlamencie wiedeńskim, w końcowym ustępie mowy swej te wypowiedział słowa:

„Gdy Archanioł śmierci uciszył wszystkie zawiści, które dokoła żywych szemrać muszą, jak długo ludzie ludźmi pozostaną, nie znajdzie się nikt z ludzi dobrej wiary, któryby nie przyznał, że należy się na trumnie sędziwego męża stanu złożyć wieniec wielkiej zasługi za życie, poświęcone dosłownie aż do ostatniego tchu na służbie niestrudzonej *pro publico bono* — dla dobra Ojczyzny!“

A ten wieniec zasługi tem bardziej zmarłemu się należy, że po długoletniej pracy dobrze zasłużył sobie na spoczynek! — Cześć jego pamięci.



Pogrzeb ś. p. Apolinarego Jaworskiego. Fot. Z. Klaften, Lwów.
Dygnitarze rządowi i krajowi wraz z gronem posłów zdążający w orszaku żałobnym za trumną zmarłego.

Wymordowanie niemieckich misyonarzy.

Ciężką i żmudną pracę misyonarzy, którzy z hasłem miłości bratniej na ustach, z krzyżem świętym w dłoni torują drogę oświacie i cywilizacyi wśród dzikich szczepów, zamieszkujących Afrykę i Australię, nie zawsze wieńczy pomyślny skutek i nieraz ci pełni poświęcenia apostołowie wielkich idei życiem własnem muszą opłacić tę swoją gotowość.



Siostra Agata. Siostra Angela. Siostra Agnes. Siostra Anna. Siostra Zofia.
Wymordowanie niemieckich misyonarzy: Zakonnice, które zginęły z rąk krajowców w St. Paul.



Pogrzeb ś. p. Apolinarego Jaworskiego. Fot. Bahrymowicz, Lwów.
Kondukt pogrzebowy skręca od kościoła OO. Bernardynów w ulicę Piekarską.

z jaką dążą do uświadomienia czarnych swych braci. Tragiczny taki los spotkał tego roku w sierpniu misyę niemiecką w St. Paul na wyspie Nowe Pomorze, należącej do archipelagu Bismarcka. Z ręki tubylczej ludności, noszącej miano Bajningów, zginął tam założyciel tej misyi Ojciec Mateusz Rascher i Ojciec Henryk Rutten, a oprócz tego ofiarą krwiożerczych zapędów ze strony krajowców padli dwaj braciszkowie i pięć zakonnic.

W r. 1867 misyonarze Serca Jezusowego założyli na wyspie tej dwie stacye misyjne we Wunamarycie i w Ramandu, a w dwa lata później ojciec Rascher zbudował nową misyę wśród gąszczy tropikalnego lasu o dwie godziny drogi od Wunamaryty i dał jej nazwę St. Paul. Pełni poświęcenia misyonarze wznieśli tu dwie szkoły i założyli dwa domy dla sierót po krajowcach, które oddali pod opiekę zakonnic, sami poświęcając się szerzeniu światła wiary wśród ludności, której dali równocześnie zajęcie w zbudowanym przez się tartaku.

Z końcem sierpnia miało się odbyć poświęcenie kościółka w St. Paul, ale zawistny los nie pozwolił biednym misyonarzom doczekać tej uroczystości.

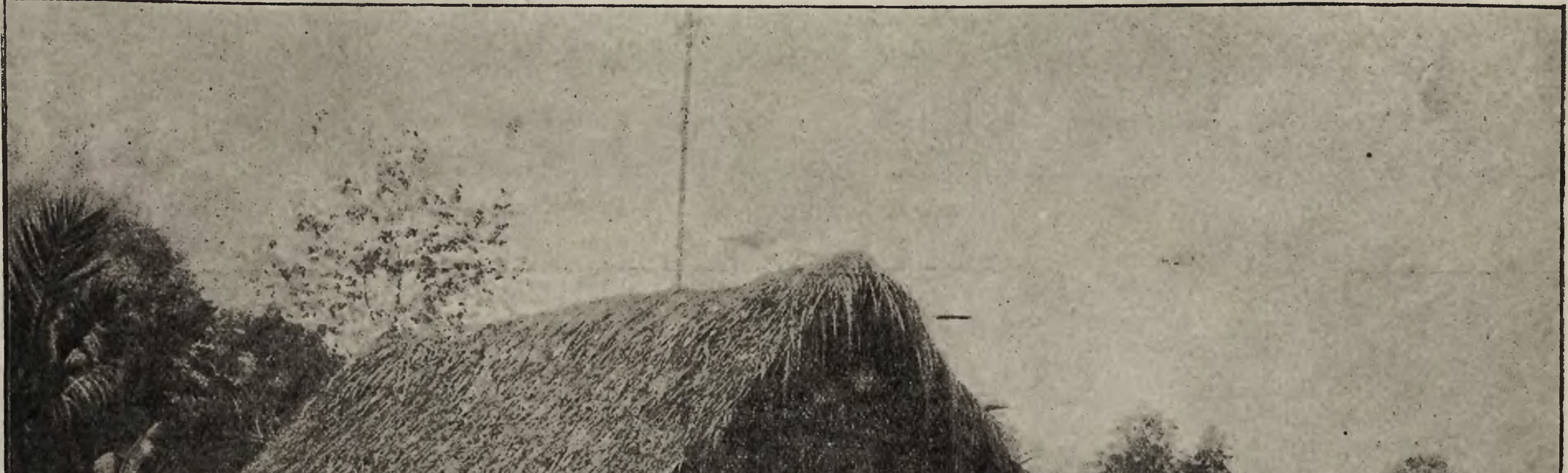
Co skłoniło krajowców do tak okropnego czynu — niewiadomo. Prasa niemiecka przypuszcza jednak, że przyczyną tego było pewne lekceważenie miejscowych zwyczajów ze strony misyonarzy, zwyczajów, z któremi ludność mimo wszelkich starań i przyjęcia wiary katolickiej nie chciała zerwać. Faktem jednak jest, że był to czyn odosobniony, nie zaś jakieś ogólne powstanie ludności tubylczej.

Zamachu na życie misyonarzy i zakonnic dokonało trzech wyzwolonych dawno niewolników, którzy, dobrawszy sobie do pomocy wolnych krajowców z najbliższej okolicy, napadli w biały dzień na stacyę misyjną, a zastrzeliwszy ojca Raschera, siekierami i dzidami wymordowali dwóch braciszków oraz pięć zakonnic, poczem złupili całą misyę i powędrowali do Nacharunep, gdzie skonał pod ich ciosami ojciec Rutten, jeden z najgorliwszych misyonarzy.

Stąd pociągnęli mordercy dalej do Mariahöhe i zaatakowali tameczną stacyę misyjną zakonu Trapistów, ale misyonarze, przy pomocy niemieckich osadników zdołali ten atak odeprzeć i zmusili ich do ucieczki.

Chociaż ukaranie winnych przedstawiało wiele trudności, bo górzysta, pełna parowów i jaskiń okolica, dawała im znakomite schronienie, gdy tylko wieść o tym wypadku nadeszła do Herbertshöhe, oddział kolonialnej policyi załogującej w tej osadzie podjął pościg za mordercami i 22 października rząd niemiecki otrzymał drogą przez Sydney depeszę od niemieckiego gubernatora Nowej Gwinei, że morderców schwytano i ukarano śmiercią na tem samem miejscu, gdzie popełnili zbrodnię.

Nie wróci to jednak życia wymordowanym misyonarzom!... W takich to przykrych, grożących utratą życia warunkach odbywa się nawracanie na świętą wiarę.



Wymordowanie niemieckich misyonarzy: Misyonarz Ojciec Henryk Rutten przed stacyą misyjną w Nacharunep, gdzie został zamordowany.

Jubileusz wiedeńskiego burmistrza.

Doktor Karol Lueger, długoletni burmistrz miasta Wiednia i naczelny wódz stronnictwa niemieckich antysemitów, w zeszłym tygodniu obchodził uroczyście sześćdziesiątą rocznicę swych urodzin.

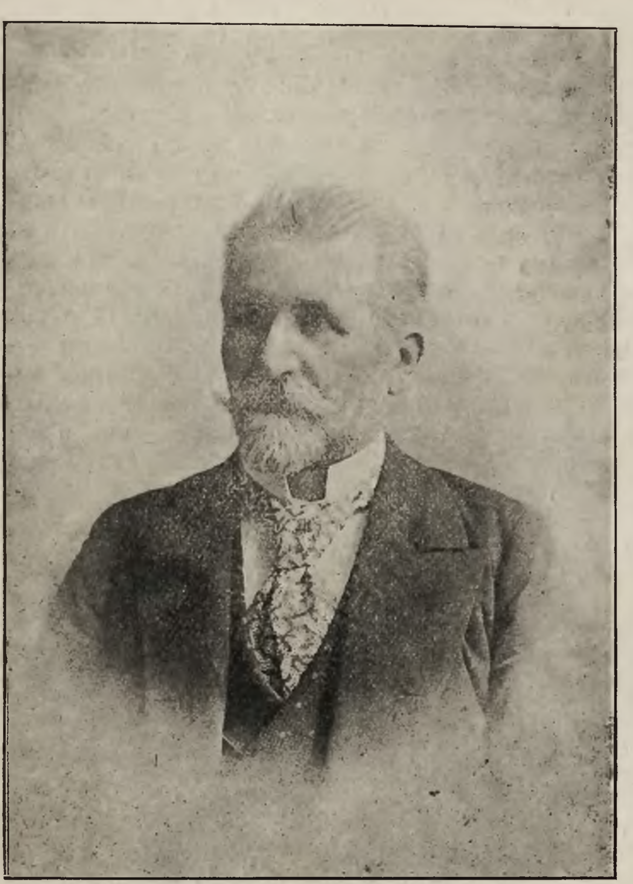
Urodzony w r. 1844 już podczas studyów uniwersyteckich śledził bacznie przejawy życia społecznego i brał żywy udział w polityce, a z biegiem lat zajmował wśród społeczeństwa wiedeńskiego coraz wybitniejsze stanowisko. Gdy zaś stronnictwo antysemickie, którego jest twórcą i wodzem, ster rządów ujęło w swe ręce, doktor Lueger ozdobił swą pierś łańcuchem burmistrzowskim. Na tem stanowisku położył wielkie zasługi około rozwoju miasta. Wszystkie najnowsze urządzenia



Jubileusz wiedeńskiego burmistrza: Dr. Karol Lueger.

miejskie, cały szereg kosztownych inwestycyi, adaptacye starych gmachów miejskich — to dzieło Luegera, któremu przedewszystkiem dobro miasta leżało na sercu, a potem dopiero polityczne ambicye. Nie czas i miejsce rozpisywać się nad pracą tego człowieka, uwidoczniać każdy jego krok, każdą zasługę z osobna. Wystarczy chyba, jeśli powiemy, że Wiedeń głównie doktorowi Luegerowi zawdzięcza swój rozkwit w ostatnich czasach, że jubilat w historyi tego miasta niepoślednie zajmuje stanowisko.

To też cały Wiedeń wziął udział w uroczystości, jaką obchodził sędziwy burmistrz i w dniu tym złożył hołd jego zasługom i pracy. Podając podobiznę jubilata, dla braku miejsca ograniczamy się jedynie do tej krótkiej wzmianki, zwłaszcza, że przebieg całego obchodu, jaki się odbył na cześć dra Luegera, podały już dokładnie w swoim czasie pisma codzienne.



Bursa gimn. im. Ad. Mickiewicza w Stryju: Twórca bursy, radca szkolny dr. Karol Petelenz.

Bursa gimnazyalna im. A. Mickiewicza w Stryju.

Rozwijające się w szybkiem tempie miasto Stryj posiada od dwóch lat wspaniałą ozdobę, budynek Bursy gimnazyalnej imienia Ad. Mickiewicza.

Ważna ta instytucya zawdzięcza swoje powstanie wielce zasłużonemu dla miasta i powiatu byłemu dyrektorowi gimnazyum tutejszego, radcy szkolnemu Dr. Karolowi Petelenzowi, który w r. b. objął dyrekcyę IV gimnazyum we Lwowie po ś. p. dyrektorze Koziole.

W r. 1898, kiedy cała Polska obchodziła setną rocznicę urodzin Adama Mickiewicza, zawiązało się staraniem Dra Karola Petelenza Towarzystwo, które wzięło sobie za zadanie wzniesienia bursy imienia tego wielkiego wieszcza dla uczniów narodowości polskiej. Potrzeba bowiem bursy polskiej w Stryju oddawna silnie dawała się odczuwać, zwłaszcza że już istniała od lat kilkunastu bursa ruska. W lat parę Towarzystwo Bursy polskiej, dzięki zabiegom swego niestrudzonego Prezesa, zebrało z wkładek członków, darów osób zamożnych i subwencyi powiatów okolicznych tak znaczny fundusz, że już w maju 1901 roku przystąpiło do budowy gmachu na gruncie, darowanym wspaniałomyślnie przez patryotyczną Radę miejską, przy ulicy Kraszewskiego.

We wrześniu 1902 r. budynek był już oddany do użytku. Umieszczono w nim na początek 37 uczniów pod opieką profesora gimnazyalnego Franciszka Walczaka. Uroczystego poświęcenia dokonał dnia 3 maja 1903 ksiądz arcybiskup lwowski, Józef Bilczewski, który też przy tej sposobności w pięknych a gorących słowach przemówił do uczniów i licznie zebranej publiczności.

Bursa imienia Adama Mickiewicza w Stryju, mieszcząca obecnie 46 uczniów, stanowi piękny pomnik patryotycznej działalności w tem mieście Dra Karola Petelenza. Żałować tylko trzeba, że więcej uczniów nie może się w niej pomieścić, albowiem liczba zgłaszających się o przyjęcie dochodzi do setki; połowie zatem Wydział Bursy musi odmówić przyjęcia.

Jest jednak uzasadniona nadzieja, że obecny prezes Towarzystwa Bursy, prezydent sądu obwodowego, p. Alfred Hinze, zajmie się gorliwie rozwojem tej instytucyi i uzupełni dzieło swego poprzednika przez dobudowanie nowego skrzydła tak, żeby w przyszłości co najmniej 80 uczniów mogło się w bursie pomieścić.



Bursa gimn. im. Ad. Mickiewicza w Stryju: Prefekt bursy prof. Franciszek Walczak.



Bursa gimn. im. Ad. Mickiewicza w Stryju. Fot. Z. Frey, Stryj.



Zaręczyny Marconiego: Marconi wynalazca telegr. bez drutu.

Zaręczyny Marconiego.

Z poza oceanu doszła do Europy wieść, że jedyna córka prezydenta Stanów Zjednoczonych Roosewelta, miss Alicya Roosewelt, jedna z najpiękniejszych bobiet Ameryki przyrzekła oddać swą rękę sławnemu wynalazcy sposobu telegrafowania bez drutu, Włochowi Marconiemu.

Wiadomość ta zarówno w Europie jak i w Ameryce wzbudziła ogólne zainteresowanie, zarówno ze względu na sławę, którą zdobył sobie Marconi, jak i ze względu na to, że miss Alicya dotychczas wszystkim swym konkurentom, wśród których był nawet niejeden miliarder i niejeden czystej błękitnej krwi arystokrata, dawała zawsze odkosza.

Ostatecznie przecież serce młodej Amerykanki zabiło mocniej na widok sławnego wynalazcy i prezydent Stanów Zjednoczonych będzie musiał rozstać się ze swoją córką, która dotychczas w „Białym Domu“ czyniła honory pani domu, przyjmowała dyplomatów i książąt, przybyłych z wizytą na amerykańską ziemię, jak naprzykład księcia Henryka pruskiego...

Młodzi narzeczeni oboje cieszą się w Stanach Zjednoczonych wielką sympatyą, więc też wieść o ich zaręczynach przyjęto na nowym kontynencie z wielką radością.

Podając fakt ten do wiadomości naszych Czytelników wraz z podobiznami zaręczonej pary, nie możemy się powstrzymać, aby nie wspomnieć o odkryciu, jakie osłabiło w ostatnich dniach znaczenie wynalazku Marconiego.

Oto podczas przejazdu rosyjskiej floty bałtyckiej w okolicy Aalsundu na jednym z wojennych statków norwegskich, który był zaopatrzony w aparat telegraficzny systemu Marconiego, oficer pełniący służbę dostrzegł, że nagle ni stąd ni zowąd aparat zaczyna funkcyonować i to jak najdokładniej, bo wybijał litery jak najwyraźniej. Mimo to oficer z liter tych nie był w stanie złożyć całości. Zawezwani inni oficerowie znający język angielski, francuski i niemiecki, także nie mogli sobie dać rady z odcyfrowaniem tej depeszy i dopiero w przystani pokazało się, że depesza ta była w języku rosyjskim, a aparat Marconiego przejął ją wówczas, gdy przejeżdżające w dość znacznej odległości pancerniki rosyjskie za pomocą podobnych



Zaręczyny Marconiego: Miss Alicya Roosevelt.



Zmiany w gabinecie austryackim: Ustępujący minister skarbu dr. Boehm-Bawerk.

aparatów porozumiewały się ze sobą. W wynalazku Marconiego byłaby to więc bardzo słaba strona i aparaty jego systemu obecnie — jak skonstatowano — nie nadają się do celów wojskowych.

Zmiany w gabinecie austryackim.

Austryacki gabinet ministrów, którego ster spoczywa w rękach dra Körbera uległ rekonstrukcyi.

Cesarz Franciszek Józef I. przychylił się ostatecznie do prośby, jaką jeszcze podczas wiosennej sesyi parlamentarnej przedłożył tronowi minister skarbu dr. Böhm Bawerk i udzielił mu dymisyi, oddając równocześnie osieroconą tekę finansów dyrektorowi pocztowych kas Oszczędności, szefowi sekcyjnemu, drowi Manswedowi Koselowi. Przy tej sposobności monarcha załatwił także sprawę dymisyi ministra rolnictwa barona Giovanellego, powołując w jego miejsce członka Rady kultury krajowej w Czechach hrabiego Ferdynanda Buquoya i mianując równocześnie ministrem rodakiem dla Czech profesora uniwersytetu pragskiego dra Antoniego Randę.

W przyszłym mumerze podamy portrety i sylwetki tych nowych ministrów, obecnie zaś parę słów poświęcimy ustępującym dygnitarzom.

Dr. Böhm-Bawerk w tak zwanym urzędniczym gabinecie dra Körbera zdobył sobie niepoślednie stanowisko i szacunek wszelkich stronnictw. Dobry finansista, oszczędny minister, nie wahający się jednak, gdy chodziło o wydatki dla podniesienia dobrobytu krajów koronnych niezbędnie potrzebne, musiał mimo nie bardzo świetnego stanu kasy państwowej związać koniec z końcem, a do dymisyi podał się wówczas dopiero, gdy po uchwaleniu przez parlament 450 milionów kredytu na wojsko, admirał Spaun zażądał dodatkowych stałych kredytów na marynarkę, a z drugiej strony ministerstwo komunikacyi wstawiło w przyszłoroczny budżet dość znaczną pozycyę na regulacyę rzek i kanałów. Dr. Böhm-Bawerk, widząc, że wydatki te przewyższają dochody państwowe i nie chcąc brać na się odpowiedzialności za zabagnienie finansów państwowych, wolał ustąpić i podał się do dymisyi, którą po długich namysłach i ustawicznem wahaniu się przyjęto ostatecznie.



Z wojny ros.-jap.: Szeregowiec z syberyjskiego pułku piechoty.

W ustępującym ministrze Austrya traci jednego z tych ludzi, którzy objąwszy odpowiedzialne stanowisko, myślą nie o sobie i o zabezpieczeniu swej przyszłości, ale o jak najsumienniejszem spełnieniu swych obowiązków.

Mniej o wiele da się powiedzieć o ministrze rolnictwa Giovanellim. Otrzymawszy z rąk dra Körbera tekę i mundur ministra, baron Giovanelli załatwiał sprawy bieżące, podpisywał akty, ale przez cały czas swej działalności nie wystąpił z żadnym wnioskiem, któryby rolnictwo lub górnictwo krajów koronnych popchnął na tory nowego rozwoju. Baron Giovanelli obowiązki swe urzędowe spełniał sumiennie, ale brakło mu inicyatywy; państwo więc nie żegna go z żalem, bo spodziewa się, że braki w jego zdolnościach pokryje rzutki umysł nowego ministra hrabiego Ferdynanda Buquoya.



Zmiany w gabinecie austryackim: Ustępujący minister rolnictwa baron Giovanelli.

Wezuwiusz grozi!

Wezuwiusz grozi! W jego wnętrzu niby gniew w duszy człowieka, lawa wre i kipi; jak złe myśli gromadzą się w nim gazy, z ponad krateru unoszą się pierwsze słowa zaczepki, gęste siarkowe dymy... Wezuwiusz grozi!

Długi czas spokojnie spoglądał on na tętniący życiem u stóp swoich Neapol; długi czas gromadził swe siły, długi czas wzbierał gniewem, aż wreszcie dał znać ludzkości, że nie wymarła jeszcze jego potęga.

Mieszkańcy Neapolu w nocy z 22-go na 23-go września obserwowali cudny, choć grozą przenikający widok nowego wybuchu Wezuwiusza.

Z tytaniczną siłą wstrząsnął on ziemię w posadach, chmurą dymu wystrzelił pod niebo, sypnął gradem rozpalonych do czerwoności kamieni i tlejącym popiołem, wydając równocześnie groźny huk, przypominający ryk armat w znacznej oddali.

I rankiem 23-go zapadły się brzegi krateru i z wnętrza strasznego wulkanu sypały się bez przerwy popioły i kamienie, a w ławicy lawy Atrio del Cavallo utworzył się cały szereg nowych czeluści wulkanicznych, których wybuchy dochodziły do stu pięćdziesięciu metrów wysokości. Tego samego dnia wieczorem słup ognia, dochodzący do trzystu metrów, ustroił szczyt groźnego Wulkanu, a na stokach stożka kraterowego powstały gęsto rozrzucone rozpadliny, z których lawa poczęła płynąć obfitą strugą. Wybuchy te trwały przez dwa dni jeszcze, a były tak silne, że jeden z kraterów na Atrio del Cavallo wyrzucił złom skalny posiadający przeszło ośmnaście ton wagi. Ofiarą pożaru wznieconego przez iskry sypiące się z kraterów padł także dworzec kolejki linowej, prowadzącej na Wezuwiusz, kolejki tak uczęszczanej przez turystów, którzy z jednej strony pragną pochwalić się tem, że byli na Wezuwiuszu, ale z drugiej znów strony nie odważają się na trudy wycieczki pieszej i wolą taką eskapadę odbyć z wszelkiemi możliwemi wygódkami.

Przez tych kilka dni tłumy ludności gromadziły się u stóp Wezuwiusza, koło którego straż trzymali karabinierzy i bersalierzy, powstrzymując śmiałków, pragnących dla lepszego przypatrzenia się wejść na niebezpieczniejsze punkty, i podziwiały te wybuchy.

Całymi dniami czekano na nowe wieści o dalszych erupcyach, ale, groźny olbrzym uspokoił się wkrótce.

Pokazawszy ludziom, że drzemie w nim jeszcze ta sama siła, jaką podziwiał Pliniusz podczas wybuchu, który zniszczył Herkulanum i Pompei, syt sławy i grozy wzbudzonej w tłumach, powrócił do dawnego stanu pozornej obojętności.

Pytanie tylko, czy na długo? geolodzy bowiem zamiast dać jakąś wyczerpującą odpowiedź w tym kierunku, milczą dyskretnie. Widocznie Wezuwiusz nie pozwala wydrzeć sobie tajemnic i chce wciąż grozić Neapolowi.

Zdaje się, że żyjący pod tą grozą i podziwiający te wspaniałe widoki wybuchów Neapolitańczycy, woleliby zrzec się podziwiania tych zjawisk, byleby nie obawiać się wiecznie losów Herkulanum.



Wezuwiusz grozi: Nowy wybuch Wezuwiusza w nocy z 22 na 23 września.

Wiarołomna żona.

WSPÓŁCZESNY ROMANS KRYMINALNY.

6 (Ciąg dalszy).

— Pani tu, hrabianko.... nie sądziłem, myślałem że...

Wyprostowała się i ogarnęła księcia płomiennym wzrokiem. A oczy jej piękne mówiły: kocham cię, chociaż rumieniec zakłopotania rozlał się po twarzy. Drżąc cała, rzekła nieśmiało:

— Cóż ja uczyniłam? Dlaczego tu przyszłam? Boże! Nie wiem co się ze mną dzieje. Zlituj się książę i pozwól mi odejść.

To powiedziawszy zachwiała się, jakby przed omdleniem, zakryła twarz rękoma i westchnąwszy ciężko, boleśnie, zaczęła się pochylać; książę wyciągnął ramiona, żeby upadającą podtrzymać i hrabianka zsunęła się bezwładna na jego piersi. Książę stracił głowę.

— Zaklinam panią, słuchaj mnie pani: a niechże pani odzyska przytomność. Ja nie wiem jak się to stało.

— Ja się spalę ze wstydu — szepnęła hrabianka i podniosła się zwolna. Nie spodziewałam się, że książę po to pragnąłeś widzieć się tu ze mną, aby mnie tak...

— Ależ pani, to pomyłka. Ja przecież nie ośmieliłem się...

— Po co mnie książę zaprosiłeś na rozmowę do tej groty? zapytała zawstydzona, ale przytem spoglądała na księcia namiętnie.

— Ja panią zaprosiłem? Wybacz hrabianko, że będę szczerym i wyznam, iż wcale się nie spodziewałem zastać tu panią.

— Co książę mówisz? zawołała jakby w przerażeniu największem. Nie pojmuję tego. Wszakże przysłałeś mi książę klucz do ogrodu zimowego. Czy to nie było zaproszenie wyraźne?

To rzekłszy spojrzała na księcia z takiem przymileniem, a pierś jej podnosiła się tak namiętnie, a usta koralowe układały się do pocałunku tak powabnie, że w innej chwili byłby książę uległ ponętom miłości, lecz teraz ubezwładniał go niepokój i chłodno odpowiedział:

— To tylko nieporozumienie.

Nastała chwila milczenia krótka, ale decydująca o losie hrabianki Judyty Landenberg.

Książę rozważał, w jaki sposób dostał się klucz w ręce hrabianki, skoro posłał go przez kamerdynera Klarze. Czyżby się kamerdyner pomylił? Sprawa dla księcia przykra. Przekonał się że hrabianka w nim zakochana, że się cieszyła nadzieją wzajemności. Jak z tego wybrnąć? Mogą powstać skandale dworskie, a bodaj tylko plotki. Lękał się scen zazdrości. Co powiedzieć hrabiance, jak się pozbyć, jak się oddalić, zanim nadejdzie Klara? A gdyby Klara hrabiankę tu zastała? Niepokój ogarniał go coraz większy.

— Zapewniam cię pani uroczyście, że jestem zupełnie nie winien temu, co się stało. Klucza pani nie posłałem.

— Boże! co słyszę? o ja nieszczęśliwa! — zawołała Judyta i łkając rzuciła się na szezlong. Po chwili podniosła głowę i mówiła, zalewając się łzami:

— Nie potępiaj mnie książę, błagam o to. Kochałam cię miłością gorącą, miłością wielką, jedyną, ale tę miłość stłumiłam w sobie, dręczyłam serce, zniewalając je do milczenia. Gdy mi wręczono klucz, serce moje zadrgało radością, bo uwierzyłam, iż domyśliłeś się mojej miłości i chcesz mnie upewnić o wzajemności. Nie mogłam oprzeć się takiej ponęcie, wierzyłam w twoją wzajemność i przybyłam tu po wstyd i upokorzenie.

— Uspokój się droga pani i racz mi powiedzieć, kto ci ów klucz doręczył?

— Jeden z paziów.

— A to istotnie zagadka dla mnie.

— A dla mnie mości książę, to cios straszny, zabójczy. Serce mi pęka z bolu. Czemuż tu przyszłam? Byłabym cierpiała z miłości ku tobie, ale jakaś nadzieja wzajemności byłaby dla mnie światełkiem, rozpraszającem ciemnicę rozpaczy. A teraz? Mamże odejść z pękniętem sercem?

— Żal mi, że się tak stało, pojmuję ogromną przykrość pani, pragnąłbym zmazać w pamięci pani chwilę tego spotkania, ale wzajemności ofiarować ci nie mogę.

— Bo inną kochasz książę — rzekła z goryczą.

— Wiadomo przecież w całym kraju, że wkrótce zaręczę się z księżniczką Elzą.

Ktoś kiedyś porównał kobietę z kameleonem. Czy z przekonania, czy też z grzeczności dla kobiet, możnaby się o to spierać, ale nie zawsze, a zwłaszcza nie w tej chwili, gdy hrabianka Judyta z płaczącej, zakłopotanej, onieśmielonej, zamieniła się w gwałtowną Junonę, ziejącą wulkanem zazdrości. Oczy jej zapłonęły szaloną złością i dzika namiętność zmięła jej twarz piękną, nawet urazą. Przez zaciśnięte zęby dobywać się zaczął syczący głos tłumionej zazdrości. I na taką przemianę wystarczyło jedno mgnienie oka.

— Ależ nie o księżniczce myślisz w tej chwili mój książę — rzekła szyderczo — bo wogóle myślisz o niej bardzo mało. Inna kobieta opanowała twoje serce i ja znam tę inną. Jej to oczekujesz w tej chwili i o niej myślisz.

— Dość tego panno hrabianko. Proszę przestać. Skończmy tę scenę, tak przykrą dla nas obojga. Zapewne pani zrozumie, że każda chwila, którą tu spędzasz, powiększa drażliwość sytuacyi.

I znowu nastała zmiana. Znikł z twarzy Judyty wyraz demoniczny, a zapłonęła na niej taka siła miłości, taka zorza rumieńców, że książę zapomniał o urazie, o gniewie i nie odpychał uroku, którym go Judyta pokonać chciała.

— Więc nie kochasz mnie książę — mówiła hrabianka głosem złamanym, łzawym — więc nigdy nie uzyskam twojej miłości?

— Cóż pani powiem? Pragnąłbym cię uspokoić, pragnąłbym, abyś zapomniała o mnie i o tem, co się tu stało. Wybacz pani, że będę szczerym. Małżeństwo nasze niemożliwe, bo, bo...

— Bo nazwanoby je mezaliansem, gdyż nie należę do dynastycznego rodu. Czy tak?

— Zgadłaś pani.

— A czy ta, którą kochasz, należy do dynastów?

— Czy pani nie wiesz, z jakiego rodu pochodzi księżniczka Elza?

— Mości książę! wiesz bardzo dobrze, iż nie mówię o księżniczce, lecz o żonie mordercy, a dawnej aktorce, Klarze Sternegg.

Książę zapłonął gniewem, wyprostował się dumnie i rzekł zimno, spokojnie:

— Nie masz pani żadnego prawa badać moich stosunków.

— Dlaczegoż to książę wypierasz się tej kobiety? — zapytała z szyderstwem.

Namiętność zazdrości znowu ją ogarniała. Pierś podnosiła się gwałtownie, oczy płomieniały, gorący oddech świadczył o strasznem wzburzeniu. Nie mogła już mówić. Książę mówić nie chciał, pragnął się opanować. Po chwili spojrzał na Judytę z mroźną wyniosłością i podniósł zasłonę, ułatwiając jej wyjście.

Judyta odzyskała przytomność. W jednej chwili pojęła, że księcia nie pozyska już nigdy. Łkając odeszła.

Rozpacz rozdarła jej serce. Wyszła z groty, ale została w ogrodzie zimowym i znalazła miejsce, w którem mogła schronić się niespostrzeżenie i wyczekiwać przybycia Klary. Tłumiła łkanie, upokorzenie, burzę uczuć; pragnęła się uspokoić, opanować. Płonęła wstydem, doznany zawód szarpał jej duszę, zazdrość ją trawiła, nienawiść wprawiała ją w gorączkę.

— Co za upokorzenie! Na co się naraziłam? Żebrałam miłości, uzyskałam wzgardę. Ta nędznica tak go usidliła. Ale nie długo jej tryumfu; musi go postradać, musi, choćbym sama zginąć miała.

Uspokoiła się wreszcie i nadsłuchuje niecierpliwie. To znowu lęk ją przejmuje, aby jej tu nie odkryto. Słyszy lekkie stąpanie, zapiera dech w piersi, domyśla się, zgaduje, że to Klara. Przy grocie zaszeleściała jedwabna suknia, rozsunęła się zasłona, Klara weszła do groty i padła w ramiona księcia.

Judyta zbliżyła się do groty, uchyliła lekko rąbek jedwabnej zasłony i spojrzała do wnętrza.

Zakipiała wściekłą zazdrością, dręczyła się tym widokiem, a jednak coś ją tu przykuwało.

Spojeni uściskiem książę i Klara, wydzierali sobie z ust pocałunki; namiętna pieszczota ogłuszała ich, oślepiała, tonęli w zapomnieniu.

— O moja ty jedyna, o moja ty najcudniejsza — szeptał książę, otulając słowa w gorące namiętne oddechy — jakżeś mi upragniona! Chciałbym być wciąż z tobą, przy tobie; zawsze mi brak ciebie, nigdy nie mogę się nasycić twoją pieszczotą.

— Mój ty najdroższy, panie mój książę, to jedyne szczęście moje, gdy na ciebie patrzę, gdy przytulam głowę do twojej piersi, mówiła Klara głosem urywanym, mętnym, jak namiętność.

Judyta nie mogła patrzyć i słuchać. Za wiele było dla niej wstydu i zazdrości, więc usunęła się, chciała odejść, lecz jakaś dziwna rozkosz pojenia się własnem udręczeniem, zatrzymała ją, niemal przykuła. Znowu się zbliża do groty, znowu uchyla rąbek zasłony.

Klara i książę siedzieli obok siebie na szezlongu.

— Jakże się cieszę, że jesteś już swobodną, że możesz pozostać w stolicy, rzekł książę.

— Ale jakaż nasza przyszłość? odpowiedziała Klara z odcieniem rzewnego niepokoju. Lękam się że wkrótce będziemy się musieli rozłączyć. Wszakże książę musisz się ożenić z księżniczką Elzą.

— Do tego jeszcze daleko, poco o tem myśleć. Wierzaj mi, ufaj, że nigdy się nie rozłączymy, bo jabym żyć nie mógł bez ciebie.

— A jednak dręczą mnie straszne przeczucia.

— Nie wierz im, bądź spokojna.

— Marszałek Wurm doradzał mi, abym wyjechała z kraju, a uczynił to z najwyższego rozkazu.

— Mój ojciec ulega podszeptom tego niegodziwca, ale moje ramię na tyle silne, że cię zdołam zatrzymać i przed wszelką napaścią osłonić. Przemocą usunąć cię nie zechce, bo to byłoby za głośne, a rozgłosu unika się na każdym monarszym dworze.

— Ale kiedyż skończą się te męczarnie niepokoju? Czyż długo jeszcze będziemy musieli kryć się z miłością przed światem?

— Patrz spokojnie w przyszłość.

— Niepokój rozdziera mi serce, bo lękam się, że nie zdołasz tego dokonać, abyś mnie przed światem swoją mógł nazwać.

Objęła go ramionami i tuliła się do niego i ust jego szukała ustami — i znowu zwiesiła głowę smutna, żałobna, roztkliwiona, łzawa. A on rósł w siłę, energię; zdawało mu się, żeby świat cały w tej chwili pokruszyć zdołał.

— Będziesz moją. Nie dam sobie wydrzeć skarbu mego serca! rzekł książę z zapałem i uścisnął ją namiętnie.

— O! dziękuję ci mój książę i wierzę, wierzę twemu sercu, twemu słowu, twej książęcej woli. A więc będę twoją żoną?

— Będziesz nią Klaro!

— A jakże się zdołasz wymówić od małżeństwa z księżniczką?

— Nie kocham jej, a wiem dobrze, że i ona mnie nie kocha.

— Lecz mimo tego, mogą was oboje zmusić do małżeństwa. Twój ojciec i matka księżniczki nie cofną zawartego układu. O! gdyby się to stało, moje życie byłoby złamane. Jabym nie przeżyła rozłączenia z tobą, o mój ty sokole, mój orliku wspaniały, uroczy, potężny! Ja ciebie tak kocham — tak kocham — tak kocham, mówiła coraz ciszej, coraz pieszczotliwiej i objęła go w ramiona i przyciskała do piersi i jakby omdlała, umilkła.

I znowu wydzierali sobie z ust pocałunki i znowu upajali się pieszczotą i cisza była w grocie. Tylko gorący oddech ją mącił, tylko światło różowej lampy drgało, gdy za kotarą ozwał się szyderczy śmiech.

Zerwali się oboje przerażeni. Książę wypadł z groty, poznał głos Judyty. Szukał wszędzie, nadsłuchiwał, chciał ją pochwycić, ukarać. Daremnie. Już jej nie było nigdzie, tylko zdala, z pomiędzy palm dochodziło jeszcze echo głośnego szyderstwa.

— Boże! ktoś podsłuchiwał. Zdrada nam grozi. Muszę uchodzić. Gdyby mnie tu zastał twój ojciec?! Straszne!

— Uspokój się Klaro, ja cię sam wyprowadzę z zamku.

— O nie, nie. Zwróciłoby to uwagę służby, lub straży zamkowej. Okryję się welonem, nie poznają mnie, nie domyślą się; pójdę sama.

Odprowadził ją do drzwi korytarza i znikł w ciemnościach, przysięgając sobie pomścić się na Judycie.

Klara szła niespokojna, spieszyła się, byle tylko czemprędzej wydostać się z zamku. Już minęła kilka korytarzy, już była przy schodach, gdy nagle stanęła przed nią jakaś postać kobieca, wyprostowana, dumna, imponująca. Klara zadrżała, poznawszy hrabinę Landesberg.

— A cóż tu pani Sternegg porabia w zamku o tej porze? zapytała szyderczo i wyniośle hrabina.

Klara oniemiała, a Judyta napawała się radośnie widokiem jej przerażenia.

— Czemuż pani Sternegg nie odpowiada? Czy mam wezwać straż zamkową, aby panią ujęła? Czy chcesz, aby się książę pan dowiedział o tych nocnych wędrówkach po zamku i rozprawił się z panią, jak to kiedyś było w chatce w lesie?

— Proszę mnie puścić, hrabino — rzekła Klara cicho i potulnie.

— A, proszę, teraz odzywasz się pani tak pokornie, a przed chwilą, tam, w jego objęciu marzyłaś o książęcym tronie!

Zuchwała nędznico! Szalona jesteś i bezwstydna! Szalona i szaloną zamkną cię tam, gdzie dla cie_

bie miejsce; w domu obłąkanych. Dziś jeszcze dowie się księżna o twej burzliwej schadzce z księciem. A teraz idź nędznico!

Klara wyszła z zamku przerażona, złamana, bezprzytomna.

W obronie cnoty.

Marszałek Wurm wpatrywał się pożądliwie w klęczącą Hanię. Gdy dostrzegła jego wzrok wstrętny, nikczemny, przerażona spytała:

— Czego pan sobie życzy?

— E, e, moje dziecko, czegoż się lękasz?

— Nie rozumiem, jak pan możesz tu przychodzić po tem wszystkiem, co dziś uczyniłeś. Obraziłeś mnie najdotkliwiej, gdym przybyła do zamku książęcego, a teraz ścigasz mnie jeszcze w domu mego ojca. Proszę wyjść!

— A jakażeś ty piękna z tym gniewem! Podoba mi się taka żywość, taka energia. Nie chcesz uwierzyć, że jestem twoim najlepszym przyjacielem.

— Nie chcę pańskiej przyjaźni i nie wierzę w nią.

— Ależ zastanów się dziecko. Niemasz już nikogo na świecie, bo ojciec w więzieniu, a czeka go wyrok straszny. Gdybyś miała rozum i powierzyła mi się z zaufaniem, ocaliłbym ci ojca od szubienicy!

— Od szubienicy! krzyknęła Hania i z największem przerażeniem załamała ręce.

— Tak, od szubienicy szeptał Wurm i zbliżył się do Hani i wpatrywał w nią wzrokiem coraz pożądliwszym i dyszał oddechem rozpustnika.

Hania rzuciła okiem na niego, odskoczyła ze wstrętem, twarz zasłoniła rękoma i jękła przeraźliwie:

— Boże! zlituj się nademną!

Wurm ujął ją za rękę i pogłaskał po twarzy.

— Precz odemnie nędzniku! krzyknęła.

— Ej, nie tak groźnie mościa panno, syknął Wurm i, uchwyciwszy ją silnie za ręce ciągnął ku sobie.

— Puszczaj! wołała Hania.

— Musisz być posłuszną mej woli. Daremnie byś wołała pomocy, niema tu nikogo, tylko ja i ty. Jeżeli dobrowolnie nie ulegniesz, to cię do tego zmuszę.

— Nigdy! zawołała Hania. Wydarła się z rąk Wurma i spostrzegłszy w kącie strzelbę swego ojca, pochwyciła ją i wymierzyła do Wurma.

— Uchodź wołała, uchodź, bo strzelę. Powiedziałeś, że tylko ja tu jestem i ty. Zapomniałeś, że był jeszcze Bóg, który mi tę broń podał w rękę.

Wurm zgrzytnął i spojrzał wściekle na Hanię i znowu twarz ułożył tkliwie i czule, i z uśmiechem podłej obłudy spoglądał na nią, nie ruszając się z miejsca.

— Czego pan chcesz jeszcze? nie nadużywaj mojej cierpliwości.

— Słuchaj dziewczyno. Mówmy rozsądnie, spokojnie. Na ojca twego ma zapaść wyrok śmierci, a ty możesz go ocalić.

— Ocali go Bóg, jeżeli wysłucha modłów moich.

— Ale Pan Bóg każe dzieciom poświęcać się dla rodziców. A czy to tak trudno poświęcić ci dla mnie...

— Milcz nikczemniku! mój ojciec wolałby dwa razy umierać, niż doczekać się hańby swojego dziecka. On by mną pogardzał, gdybym mu hańbą życie okupić chciała. Idź nędzniku natychmiast, nie lękam się ciebie. Bóg sieroty nie opuści. Z pomocą Bożą dostanę się do księcia i zdołam uprosić łaski dla biednego ojca. Prędzej!

Podniosła broń i mierzyła w piersi Wurma. Wurm wykrzywił twarz szatańskim uśmiechem, oczy mu zapłonęły wściekłością.

— Ha! żmijo, gadzino. Policzymy się. Ja cię nauczę rozumu i posłuszeństwa. Jeszcze będziesz u stóp moich żebrała litości!

Krzyknął i wypadł kipiący gniewem, a zaledwie drzwi się za nim zawarły, Hania upadła bezwładnie na kolana, strzelba wypadła jej z ręki i z rozdartego jej serca wydarło się łkanie:

— Boże najświętszy, ocal mojego ojca, a ochroń mnie przed tym nędznikiem.

Rozpacz matki.

Matka Ryszarda wróciła niedawno ze stolicy. Była tam, by odwiedzić syna w więzieniu. Straszne przywiozła wieści, bo wszystkie poszlaki obwiniają niewinnego, a niczem nie można tych poszlak usunąć. Wróciła z rozdartem sercem, pełna rozpaczy. Zamknęła się w pokoju, w którym jej mąż ostatnie wydawał tchnienia i unosiła się duszą ku jego duszy, aby jej tam gdzieś dopatrzyć i wołać: Tyś bliżej już Boga, więc błagaj o sprawiedliwość dla naszego dziecka. Łzy i modlitwa sprawiały jej ulgę.

Hania, dowiedziawszy się o powrocie baronowej, natychmiast do niej pospieszyła, by dzielić z nią boleść, by koić rozpacz matki boleścią narzeczonej.

— Bóg zapomniał już o mnie, wołała baronowa. Ryszard, mój Ryszard niewinnie będzie zasądzony. Mego syna czeka śmierć i hańba!

— Uspokój się mateczko Ufaj Bogu. Bóg czuwa nad nami; ja to czuję; jakiś głos wewnętrzny szepcze mi słowa wiary i pociechy, Bóg ocali Ryszarda, lub nam go ocalić pomoże.



„Uchodź wołała, uchodź bo strzelę!"

Matka i narzeczona opłakiwały dolę najdroższego; chociaż wiara i modlitwa były wielką dla nich dźwignią, boleści ukoić nie zdołały. Wyczerpane, znękane siadły obok siebie jak dwa posągi Nioby. Tylko łzy płynęły im z oczu, tylko piersi podnosiły się westchnieniem.

We drzwiach komnaty ukazał się stary Bertolo. Nie śmiał przerwać tej łzawej ciszy, więc stał chwilę na progu. Jego pani płacze, jego pani złamana podwójną żałobą, upada pod nawałem cierpień, więc stary sługa, osiwiały w wiernej służbie w domu baronostwa, nie mógł na to patrzyć obojętnie, — łzy mu po twarzy pociekły, żal go zdławił i cofnął się do swojej izdebki, gdzie za stołem zasiadł siwy człowiek, o szlachetnym wyrazie twarzy, ubrany w mundur dozorcy więźni. Był to brat Bertolda. Przybył tu, by go odwiedzić.

— Słuchaj Wawrzyniec! rzekł Bertold zalany łzami — ja tego nie zniosę, ja nie mogę patrzeć na to wszystko. Mnie dyabli wezmą. Ja wiem, przysięgnę, że nasz panicz niewinny; takie było to zawsze dobre chłopczątko, takie bogobojne, litościwe. Ale, Boże! jakże można?! Strach! Kara Boska spadnie na nich, że go posądzili. Ja ci powiadam, że tego komisarza i tych sędziów Bóg ciężko dotknie. Jakże można? Nie słychana rzecz! Takie paniątko grzeczne, dobre!

— A no, straszna to historya, odpowiedział Wawrzyniec, straszna — ale cóż na to poradzić?

Zadumali się starzy.

— Wybyście poradzili na to, panie Wawrzyńcze, odezwała się Hania, niespostrzeżenie tu wszedłszy.

Zerwał się Wawrzyniec i zapytał zdumiony:

— Ja? ja panno Haniu? a to jakim sposobem?

— Przecież kochany pan Wawrzyniec jest dozorcą więzień, więc mógłby zobaczyć się z Ryszardem.

— No, zobaczyć mi się nie trudno, boć nawet nieszczęśliwy pan baron jest właśnie pod moim kluczem.

— Co za szczęście! zawołała Hania — i pobiegła do baronowej.

Po chwili wróciła z nią i rzekła:

— Mateczko! Bóg nam zesłał sposób ocalenia Ryszarda. Mateczko! Pociesz się, Bóg go ocali, a nas pocieszy.

— Dziecię moje, drogie dziecię, co ty mówisz? szeptała baronowa i spoglądała nieśmiałym, badawczym wzrokiem to na Bertolda, to na Wawrzyńca.

— Jedynym środkiem ocalenia Ryszarda ułatwić mu ucieczkę z więzienia, a tego Wawrzyniec dokona.

— Dla Boga! co panienka mówi? Mnie żal, bardzo żal i panicza i pani baronowej i panienki. Mnie bardzo żal, ale nie mogę więźnia wypuścić, a tożbym stracił kawałek chleba na stare lata i jeszczeby mnie zamknęli za karę.

— Nie, nie panie Wawrzyńcze, nic wam nie będzie, Bóg wam pobłogosławi, bo spełnicie szlachetny czyn, ocalicie niewinnego! wołała Hania załamując ręce

— Człowieku zacny, człowieku święty, ocal dziecko moje, zawołała z łkaniem baronowa i padła na kolana przed Wawrzyńcem i wyciągnęła ku niemu dłonie, jak do modlitwy.

Bertold skamieniał z bólu, gdy zobaczył, że jego pani, że baronowa klęczy u stóp jego brata.

— Pani baronowo, ryknął ze łzami, pani moja! To nie może być. Pani klęczy. Boże święty! Niechże pani baronowa się podniesie.

— Wawrzyniec, jeżeliś człowiek, jeżeliś mój brat, jeżeli masz Boga w sercu, pamiętaj, musisz wypuścić panicza, musisz.

Wawrzyniec rozwarł szeroko oczy, jak człowiek, co nie pojmuje, nie rozumie czego właściwie chcą od niego.

— Słuchajno Wawrzyniec — mówił łkającym szeptem Bertold — tyle tylko zrobisz, żeby panicz się dowiedział, iż musi uciec, no i dowie się jak to zrobić, a zresztą to już moja głowa.

Bracie! bracie! Pamiętasz? co nam ojczysko powtarzał? Pamiętasz? co? A no mawiał: chłopcy pomagajcie sobie i kochajcie się zawsze, a jeden za drugiego niech w ogień skoczy. No, widzisz. A panicza mi ocalisz, to jakbyś mnie ocalił, bo jabym za niego oddał życie. Wawrzyniec! Słuchaj! Żeby łzy baronowej, łzy matki nie spadły na twoją duszę, bo paliłyby cię i tu i tam, wiesz, tam... za grobem. A czy ty myślisz, że jabym przeżył panicza? O, Boże mój, toć jabym padł trupem odrazu, jakby się jemu przytrafiło zginąć marnie.

— Bądźcie spokojni, panie Wawrzyńcze, mówiła Hania. Ułożymy taki plan, że dla pana nie będzie żadnego niebezpieczeństwa.

Wawrzyniec tłumił długo wzruszenie, nareszcie ryknął płaczem:

— Niech się dzieje co chce, żeby mnie nawet nieszczęście miało spotkać, uczynię wszystko, co zechcecie.

Bertold rzucił mu się na szyję i dwaj osiwieli bracia uścisnęli się tak serdecznie, jak może nigdy w życiu, a potem baronowa i Hania ściskały kolejno Wawrzyńca i Bertolda i nie było tu pani i służącego, baronowej i dozorcy więzienia, jeno szlachetni zbawcy i serca wdzięczne dla dobroczyńców.

C. d. n.



Z wojny ros.-jap.: Kozacy jenerała Miszczenki i piechota jenerała Rennenkampfa cofają się do zajmowanych przedtem pozycyi w bitwie pod Jantajem.

Z wojny rosyjsko-japońskiej.

Wieści z pola walk. Wieści, jakie w ostatnim tygodniu nadeszły z pola walk na dalekim Wschodzie, w niczem nie różnią się od wiadomości, które zaraz po bitwie pod Jantajem dotarły do Europy.

Obie strony walczące, rozciągnąwszy front swoich wojsk wzdłuż koryta rzeki Szacho ograniczają się do drobnych utarczek kawaleryi i piechoty lub do pogadanek na armaty, operując równocześnie głównemi siłami w ten sposób, aby zająć jak najkorzystniejsze pozycye na przyszłość i tak podczas, gdy jenerał Kuropatkin koncentruje głównie swe pułki przed frontem dywizyi jenerała Oku, marszałek Oyama stale dąży do obustronnego oskrzydlenia armii mandżurskiej.

Na polu walk panuje więc względny spokój, ale co dnia mnożą się oznaki, że strony walczące, dawszy konieczny wypoczynek swym żołnierzom, niebawem znów rozpoczną bój zacięty.

A w kierownictwie armii mandżurskiej nastąpiły ważne zmiany. Oto car Mikołaj II. przyjął dymisyę namiestnika Aleksiejewa, który powrócił teraz do Petersburga, a całą władzę tak polityczną jak wojskową złożył w ręce jenerała Kuropatkina.

Widocznie więc jenerał Kuropatkin, mimo, że szczęście w boju nie uśmiechnęło się jeszcze do niego, posiada wielkie zaufanie cara i jego otoczenia.

Pod Portem Artura. Jak angielski „Standard“ z Szangaju donosi, Port Artura ma być w krytycznem położeniu. Jenerał Nogi dowodzący armią japońską, oblegającą tę twierdzę, raz po raz rzuca swe pułki do nowych ataków, do świeżych szturmów i bombarduje prawie bez przestanku zarówno miasto, jak wszystkie fortyfikacye. Nad Portem Artura unoszą się chmury działowego dymu, dniem i nocą słychać tam potężny ryk armat, co chwila niemal brzmią krzyki walczących, który w ten sposób dodają sobie odwagi i ochoty do dalszego boju.

Japończycy w ostatnich dniach po wschodniej stronie twierdzy zdobyli znów dwa ważne forty i skutkiem tego zagnieździli się w pozycyach, z których mogą ostrzeliwać wojenne okręty rosyjskie, stojące w wewnętrznej przystani. Jak donoszą angielscy korespondenci, Port Artura ubiegłego tygodnia dwa dni stał w płomieniach. Mimo to wszystko komendant załogi fortecznej jenerał Stoessel ani myśli nawet o poddaniu się i w swoich rozkazach dziennych oświadcza załodze, że raczej nikt z twierdzy żywy nie wyjdzie, aniżeli miałby kiedykolwiek zatknąć na niej białą chorągiew i prosić o pardon.

A te słowa poparte przykładami, bo jenerał Stoessel bynajmniej sam się nie oszczędza i nieraz wśród największego ognia, wystawiając się na cel pocisków, każe defilować luzującym się w walce oddziałom, podnosząc ducha w żołnierzu, dodając mu sił i odwagi. Nikt nie chce być gorszym od wodza, każdy żołnierz chciałby mu w zakresie swych czynności dorównać i wszyscy walczą zacięcie o każdy szaniec, o każdy krok, o każdą piędź ziemi, ożywieni nadzieją, że przecież zdołają utrzymać twierdzę, dopóki armia mandżurska nie przyjdzie im z odsieczą.



Z wojny ros.-jap.: Jenerał Rennenkampf w szpitalu polowem pod Mukdenem.

Nie wiedzą tylko o tem, że dziś przynajmniej położenie armii mandżurskiej jest tego rodzaju, iż mimo najgorętszych chęci nie jest ona w stanie spełnić tych nadziei...



Z wojny ros.-jap.: Japończycy w Jokohamie obchodzą uroczyście zwycięstwo swej armii pod Liaojanem.

Obrazki z wojny.

* W jednym z poprzednich numerów, wspominaliśmy już o jenenerale Rennenkampfie, dowódcy tej dywizyi piechoty, która w bitwie pod Jantaj poszła w pierwszy ogień na nieprzyjaciela i zrazu zdołała wyprzeć go nawet z pozycyj, jakie w pierwszej chwili bitwy obsadził. Lecz niebawem szala zwycięstwa przechyliła się na stronę Japończyków i to z błahego na pozór powodu.

Zbłąkany odłamek granatu ugodził jenerała Rennenkampfa w nogę. Ranny dowódca musiał się cofnąć do ambulansów, a żołnierze straciwszy w tak niespodziany sposób kierownika swych ruchów, zatrwożeni i niepewni, poczęli mniej silnie napierać na Japończyków, którzy czując, że nieprzyjacielski atak słabnie, ze zdwojoną siłą przerzucili się do kontrataku i wyparli Rosyan ze zdobytych dopiero co stanowisk.

Rana jenerała Rennenkampfa, który przebywa

obecnie w szpitalu polowym pod Mukdenem, nie należy wcale do ciężkich, a lekarze spodziewają się, że ranny niebawem przyjdzie do zdrowia i znów odbierze komendę nad swoją dywizyą.

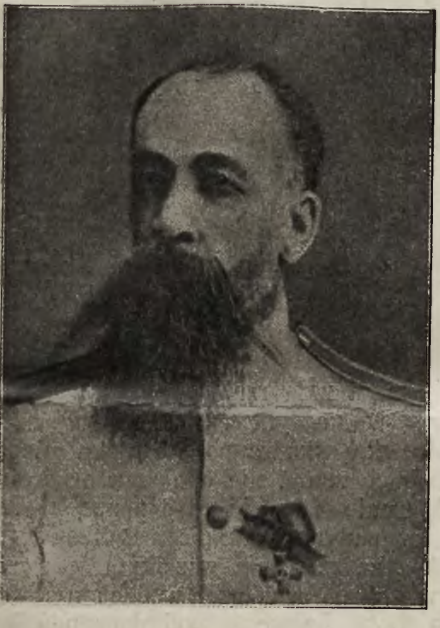
* Szczęście, jakie wciąż sprzyja japońskiemu orężowi, napełnia lud nie biorący udziału w walce radością i weselem. Żony nie płaczą po straconych w boju mężach, rodzice nie rozpaczają za synami, których nienasycony moloch wojny pożera, kochanki nie ronią łez nad zgonem swoich ukochanych. Cała Japonia rozbrzmiewa jedną pieśnią wesela i tryumfu, gdy tylko do kraju nadejdzie wieść o nowych zwycięstwach, o nowych powodzeniach armii marszałka Oyamy.

...„Patrzącemu na to — pisze do swej rodziny jeden z jeńców japońskich Polak, wzięty do niewoli jeszcze w bitwie nad rzeką Jalu — oglądającemu tę radość Japończyków, zdaje się, że cały lud ogarnia jedna myśl, którą w tak wzniosłych słowach określił nasz nieśmiertelny Mickiewicz: „I ten szczęśliwy, co legł wśród zawodu, jeśli poległem ciałem dał innym szczebel do sławy grodu“...

Na wieść o każdem nowem zwycięstwie łuna wspaniałych illuminacyj czerwieni niebo nad wszystkiemi wielkiemi miastami. Tokio, Yokohama, Kioto w ten sposób sygnalizują okolicznym wioskom i osadom nowy tryumf japońskiego oręża.



Z wojny ros.-jap.: Oddział ze załogi portarturskiej pod gradem kul defiluje przed jenerałem Stoesslem.



Z wojny ros.-jap.: Kapitan Reitzenstein dowódca eskadry władywostockiej.

Ulicami miast ciągną całe tłumy z wesołym śpiewem na ustach dźwigając wizerunki zwycięskich swych wodzów i wznosząc co chwila na cześć ich okrzyki. Kobiety, starcy, dzieci, oddziały wojsk i straży, na które nie przyszła jeszcze kolej zmierzyć się z wrogiem, biorą udział w tych uroczystościach.

Ustaje wszelka praca; kupcy zamykają sklepy, najubożsi robotnicy porzucają swą pracę i wszyscy bez wyjątku spieszą przyłączyć się do pochodu będącego prawdziwie narodowem świętem...

Nie można za złe brać Japończykom tych uroczystości, bo nie głupia pycha jest ich matką, ale prawdziwa, szczera i gorąca miłość ojczyzny!...

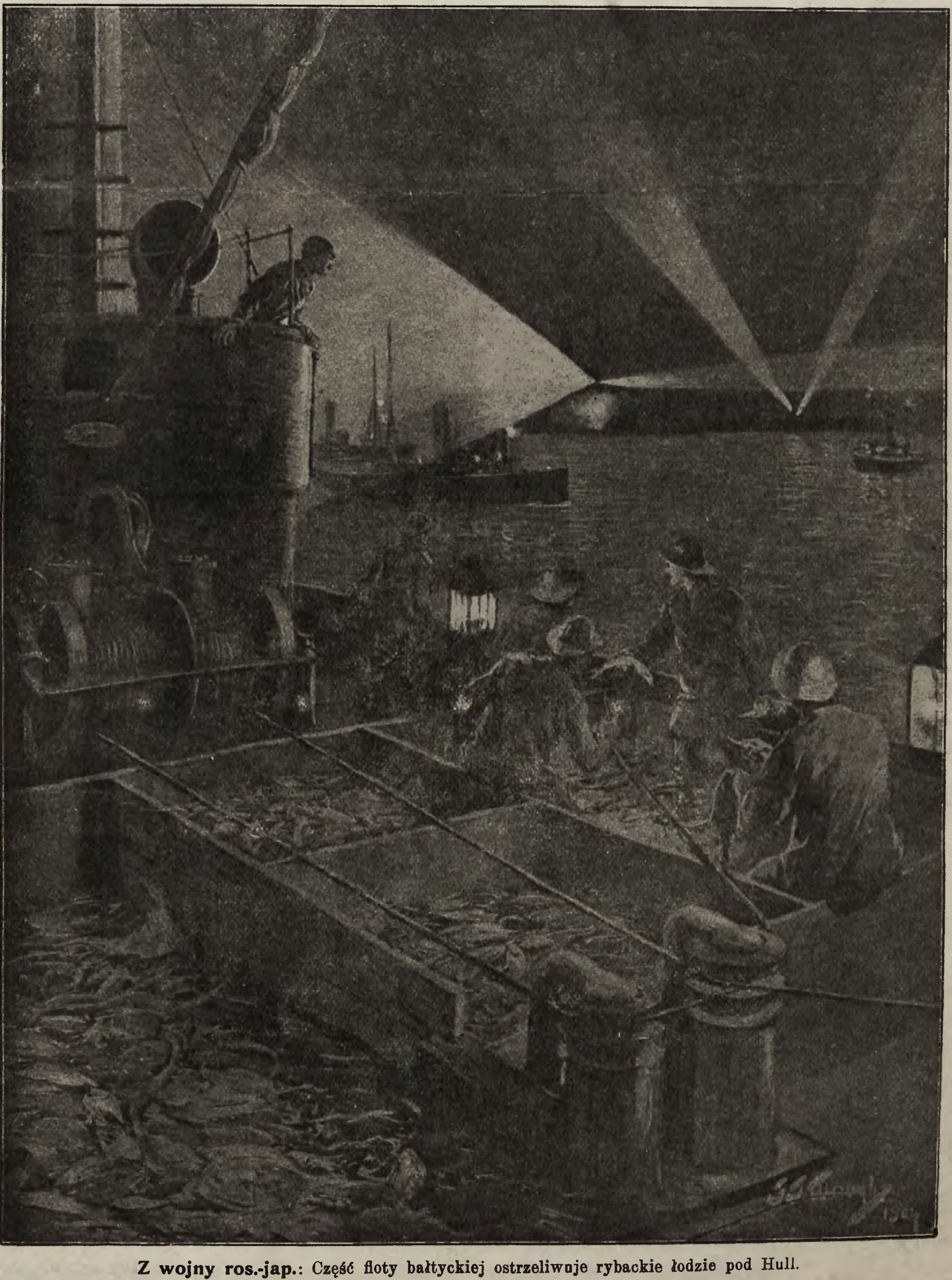
* Ożywione największym zapałem, pełne odwagi i ochoty do boju wojska, idące do ataku z całą furyą, wojska, którym — jakby się przynajmniej zdawało — nikt nie jest w stanie stawić oporu, można śmiało przyrównać do dzieci wesołych, rozbawionych i śmiałych, ale — tylko pod okiem piastunki!

Gdy tej piastunki zabraknie, gdy dziecko nie czuje jej oka na sobie, gdy ona zniknie mu z oczu, jakby pod dotknięciem czarodziejskiej różdżki, to wesołe i śmiałe dziecię staje się naraz trwożliwem, bezsilnem!...

Taki obraz można było obserwować w bitwie pod Jantajem, gdy jenerał Rennenkampf zraniony granatem usunął się od dowództwa. Zastępca na jego miejsce znalazł się w prawdzie, lecz żołnierz zdemoralizowany tym wypadkiem i brakiem wodza, do którego żywił zaufanie, stracił już całą swą siłę, cały zapał i odwagę..,

Zamiast dalej iść naprzód, cała dywizya stanęła w miejscu, a zatrzymawszy przy sobie kozaków jenerała Miszczenki stawiła tak słaby opór, że Japończycy zmusili ją do odwrotu, a tem samem w niwecz obrócili całą chwilową korzyść ofenzywy rosyjskiej. Wypadek taki, gdzie śmierć lub zranienie wodza spowodowało przegraną, nie jest pierwszym w dziejach wojennych; wypadki takie notuje i historya starożytna i średniowieczna, a na kartach nowożytnej kroniki świata zapisały się one już kilkakrotnie. To też każdy wódz ma obowiązek ile możności chronić się przed wypadkiem, a jeśli już uniesiony zapałem naraża swe życie na niebezpieczeństwo, to w pierwszej linii powinien swych podwładnych przyzwyczaić do tego, że lada chwila ktoś inny może odebrać nad nimi komendę.

Ale wodzowie ufni w swą szczęśliwą gwiazdę, rzadko kiedy o tem pamiętają!...



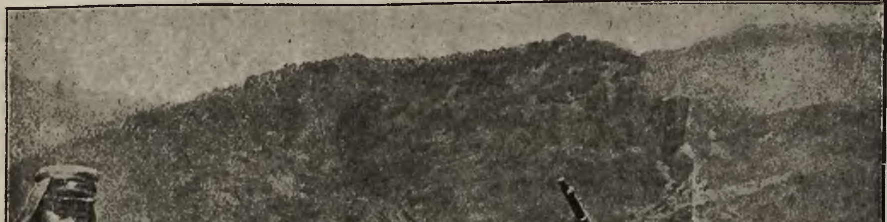
Z wojny ros.-jap.: Część floty bałtyckiej ostrzeliwuje rybackie łodzie pod Hull.



Z wojny ros.-jap.: Strzelcy syberyjscy stojący załogą we Władywostoku.

A na dalekim Wschodzie, obie strony i Japończycy i Rosyanie hołdują tym zasadom pomni, że co dziś spotkało innych, jutro ich spotkać może.

To też według doniesień korespondentów wszelkie wieści o wzajemnych barbarzyństwach i dręczeniu więźniów wojennych, jakie rozszerzano ostatniemi czasy są z gruntu fałszywe. I Japończycy i Rosyanie gdy walka ustanie, cenią nawzajem swą odwagę i męstwo i pomagają swym jeńcom, jak mogą, oddając im nawet to do użytku, czego im później samym zabraknąć może. Jest to wielka i godna uznania cnota żołnierska.



Z wojny ros.-jap.: Kawalerzyści japońscy opiekujący się rannymi w boju i schwytanymi do niewoli Rosyanami.

* Do tej pory, chociaż już cała północno-wschodnia Azya stoi w płomieniach wojny, przystań i twierdza władywostocka nie miały jeszcze żadnego starcia z nieprzyjacielem. Wyjątek jedynie stanowi eskadra władywostocka, której komendę objął obecnie kapitan Reitzenstein. Flota ta stoczyła już utarczki z eskadrą admirała Kamimury i raz zadała mu nawet klęskę, a drugi raz sama poniosła porażkę w chwili, kiedy wypłynęła na przyjęcie floty portarturskiej, która pod komendą admirała Witthefta starała się przerwać blokadę ze strony admirała Togo i dotrzeć do Władywostoku. Japończycy dotychczas na Władywostok nie okazali, i nie okazują apetytu, a załoga portowa spokojnie pędzi życie, chociaż nikt nie wie, jak długo spokój ten potrwa i czy Japończycy, którzy mimo pozornej obojętności, dobrze uważają na wszystko, nie zechcą po zdobyciu Portu Artura zawładnąć i tym dla Rosyan tak ważnym punktem. Gdyby się to stało strzelcy syberyjscy załogujący we Władywostoku, spotkaliby się z nieprzyjacielem i walka rozgorzałaby na nowym punkcie. Ciekawym w każdym razie faktem jest to, że władywostocka eskadra po ostatniem niepowodzeniu jakiego doznała, nie opuszcza przystani i nie stara się wcale pomścić za doznaną klęskę. Widocznie komendant jej kapitan Reitzenstein otrzymał rozkaz zaprzestania wszelkich operacyi aż do chwili, w której na żółtych wodach nie pojawi się wreszcie flota bałtycka pod komendą admirała Rożdestwieńskiego.

Ale kapitan Reitzenstein na flotę tę będzie musiał dość długo czekać, bo właśnie zaszedł wypadek, który ją w dalszej podróży na Wschód zatrzymał i o ile się zdaje pozbawi nawet admirała Rożdestwieńskiego dowództwa.

Zatarg angielsko-rosyjski. Dlaczego flota bałtycka pod komendą admirała Rożdestwieńskiego nie prędko zawinie na wody Morza żółtego, dlaczego musiała przerwać swą podróż?

Oto tylko skutkiem zdecydowanej postawy Anglii wobec wypadku jaki zaszedł koło przystani Hull.

Wśród ciemnej nocy przejeżdżająca flota bałtycka zetknęła się z flotyllą statków rybackich, oficerowie rosyjscy, obawiający się napadu lub niespodzianki jakiejś ze strony Japończyków, w myśli, że natrafili na nieprzyjacielską zasadzkę, otworzyli na tę flotyllę ogień działowy.

Armaty grały przez dwadzieścia minut. Kilka statków rybackich poszło na dno, wielu rybaków zostało zranionych, kilku zabitych odłamkami szrapneli, a kilkunastu znalazło śmierć w nurtach oceanu. W Anglii wywołał ten wypadek szalone wrzenie, i zażądano obok odszkodowania, kary dla oficerów, którzy wydali rozkaz strzelania.

Przez parę dni zdawało się, że Anglia zerwie dyplomatyczne stosunki z Rosyą i że będziemy musieli patrzeć na nowy rozlew krwi, ale dzięki pojednawczemu działaniu dyplomatów francuskich, sprawa ułożyła się w ten sposób, że rozstrząsać ją będzie i wyrok o niej wyda sąd rozjemczy w Hadze, w którym zasiędą fachowi marynarze wszystkich mocarstw, a który przedewszystkiem wyświetli sprawę i przesłucha tak rybaków angielskich jak i oficerów marynarki rosyjskiej, należących do floty bałtyckiej. Naturalnie aż do wyroku sądu, flota bałtycka będzie musiała wstrzymać swą podróż, choćby tylko dlatego, że część jej komendantów musi osobiście stanąć przed sądem i zdać relacyę o zajściu.

Gemma Bellincioni.

Gemma po włosku znaczy klejnot; Bellincioni od *bella* wypadłoby po polsku coś niby Pięknicka, Ładnowska — a już co najmniej Miłowska... Otóż tedy: pięknym klejnotem nazywa się ta śpiewaczka, zachwycająca dziś świat cały obok Kochańskiej, Arnoldsohn i innych gwiazd operowych, pierwszorzędnym święcących blaskiem na horyzoncie belcantu.

Czy jest ona naprawdę klejnotem w znaczeniu doskonałości artystycznej? Stanowczo — tak. Nie było dotąd odmiennego zdania krytyki. To klejnot prawdziwy, o brylantowym blasku, klejnot czystej wody, oszlifowany kunsztownie... Kto ją widział na scenie — nie zapomni nigdy tych skry rzucających oczu, tej gry skończonej, odkradzionej wprost z natury; nie zapomni tej werwy, kokieteryi, grozy i tysiąca innych odcieni duszy kobiecej, tej duszy, w interpretacyi pani Gemmy nieledwie „nagiej" w swojej nieskazitelnej prawdzie!

Nawet głos, tę, jak dotąd uważano, jedyną, największą zaletę śpiewaczki — nawet owo *bel canto* dla którego piękności Włoch



wszystko inne poświęci — Bellincioni z całą bezwzględnością, jak w *Carmen* naprzykład, aż do brutalności w niektórych momentach posuniętą, podporządkowuje grze, zawsze i nadewszystko hołdując absolutnej prawdzie w odtworzeniu postaci.

To też klejnot ten za... duży jest w oprawę estradową! Trywialnie się wyrażając „nie pasuje" do małej sali, do dyskretnego akompaniamentu fortepianowego; bez szminek(?), peruk i efektownych kostyumów, nadzwyczajny talent tej artystki zaledwie w połowie wywołuje tyle wrażenia, co w operze... Bądź co bądź — nie przestaje być klejnotem.

Czy jednak ta „gemma" jest przytem „bella"? To kwestya — nierozstrzygnięta, choć, co prawda, mniejszej wagi w rzeczach sztuki. Oczy może za duże, nos ostry, budowa... mniej stylowa — ba! jak zwykle: rzecz to gustu... Niech sobie Szanowny Czytelnik, który nie miał "szczęścia" widzieć jej na koncercie Tow. muzycznego, wyrobi o tem zdanie, patrząc na obok stojącą podobiznę, nawiasem mówiąc, nawet pochlebną cokolwiek... Trudno! gieniusz mieszka zawsze w pięknej duszy — o cielesną powłokę nie dba miejscami!...

TAJEMNICZA WILLA

(Z opowiadań włamywacza na tle prawdziwych zdarzeń).

Z angielskiego przełożył

KAZIMIERZ E.

6 (Ciąg dalszy)

— To będzie zależeć od naszego porozumienia się, a sądzę, że panu będzie u mnie tak dobrze, wygodnie i przyjemnie, iż chętnie pozostaniesz tutaj i z żalem mnie kiedyś pożegnasz!...

— Ha! — zawołałem zdecydowawszy się ostatecznie — trzymam się zasady „raz kozie śmierć" a myśląc, że pan nie bierzesz mnie na kawał i nie chcesz mnie oszukać, przystaję na pański warunek! Niechże moja krew uratuje życie twej córki!

— O! — zawołał z radością tajemniczy starzec — widzi pan, że przecież zdołaliśmy się pogodzić! Ale zanim Franciszek przygotuje panu pokój, poddasz się operacyi, bo moja biedna córka dzisiaj, więcej niż kiedyindziej potrzebuje tego ożywczego płynu! Chodźmy więc! Chodźmy!..

Wstałem z fotelu, aby pójść za tym tajemniczym starcem, ale zanim wyszedłem, jeszcze raz spojrzałem na biedne blade jak płótno dziewczę, spoczywające niby bezduszny trup, na sofie.

Więc to moja krew ma ją przez czas jakiś utrzymać przy życiu? — pomyślałem — dobrze! niech ją utrzyma! nie będę żałować jej, byleby tylko to biedne a tak piękne dziecię odżyło, bylebym mógł choć raz spojrzeć w oczy tej dziewczyny i wyczytać w nich cichą podziękę za moje poświęcenie!..

Ale... ale... — myślałem dalej — czy to dziewczę naprawdę jest córką mojego tajemniczego starca, czy może łączy ją z nim jakiś inny stosunek?!...

Nad tem pytaniem nie miałem już czasu zastanawiać się dłużej, bo tajemniczy starzec szepnął służącemu kilka słów i skinął na mnie.

Pospieszyłem za nim i wszyscy trzej: to jest ja, starzec i służący przeszedłszy przez kurytarz stanęliśmy przed pięknie rzeźbionemi dębowemi, drzwiami na których złocił się napis:

Artibus et litteris.

Starzec nacisnął klamkę i stanęliśmy w progu komnaty widnej, czystej, urządzonej z przepychem, ale wielce przypominającej sale operacyjne w klinikach stołecznych.

— Proszę! — rzekł do mnie starzec, stając w pośrodku — proszę! bądź pan łaskaw spocząć tu na tem krześle! Franciszku, pomóż panu zdjąć surdut!...

Franciszek szybko ściągnął ze mnie pachnącą jeszcze klajstrem marynarkę i posadził mnie na krześle wielce przypominającem operacyjne fotele u dentystów, poczem zawinął mi rękawy u koszuli.

Zaledwie ukazało się z pod koszuli moje nagie ramię, starzec z błyszczącemi radością oczyma podszedł ku mnie ze skalpelem w ręku.

Nie namyślając się, nie patrząc nawet na mnie, zajęty jedynie operacyą, jakiej miał dokonać, podniósł moje ramię i zanurzył ostrze noża w mojem ciele... Krew trysnęła strumieniem do wielkiej srebrnej miednicy, którą trzymał służący.

Zrazu patrzałem z ciekawością na ten strumień krwi spływający do miednicy, ale niebawem uczułem, że słabnę. Mimo wszelkich wysiłków powieki poczęły mi się kleić, głowa zwisnęła mi na piersi. Z każdą niemal sekundą traciłem siły, stawałem się coraz słabszy, a nielitościwy starzec krew moją wciąż toczył i toczył...

Według mojego obliczenia starzec musiał mi pewnie z kilka funtów krwi już wytoczyć. Chciałem się bronić, ale nie mogłem, bo upływ krwi pozbawił mnie sił zupełnie; powoli zapadałem w omdlenie, powieki mimo całego wysiłku z mojej strony zamykały mi się powoli coraz bardziej, aż wreszcie straciłem całkiem przytomność!

Gdy wreszcie otworzyłem oczy, zobaczyłem, że w pokoju było już ciemno zupełnie, że leżę w łóżku, a na małym stoliczku tuż obok mnie płonie świeca jasnym płomieniem. Rozglądnąłem się szybko po pokoju.

Był to nie tylko przyzwoicie, ale nawet bardzo elegancko urządzony kawalerski pokój, duży i zapewne w dzień widny.

Na dębowym stole, który stał w pośrodku, dostrzegłem zastawioną kolacyę zimną, złożoną z szynki, rostbefu, kurcząt, owoców, sera i butelki ciężkiego lecz posilnego portweinu.

Ten widok obudził we mnie szalony głód, to też nie namyślając się wyskoczyłem z łożka i z młodzieńczym apetytem zacząłem szerzyć straszne dzieło zniszczenia wśród nagromadzonych zapasów, przerywając je tylko czasem dla przepłukania sobie gardła portweinem.

No! na wikt niepotrzebowałem się skarżyć!

Najadłszy się do syta pomyślałem przedewszystkiem, o tem, która to może być godzina. Niestety nie miałem zegarka, więc też musiałem skwitować z mych żądań nie mniej jednak, byłem przekonany, że do nocy musi być jeszcze wcale daleko.

Spojrzałem w dwa duże weneckie okna i dostrzegłem w nich takie same żaluzye, jakie poprzedniego dnia przed zakradnięciem się do tej willi widziałem we wszystkich jej oknach.

Szybko podniosłem jedną żaluzyę i aż krzyknąłem z radości, bo przez okno wdarły się do mego pokoju promienie zachodzącego słońca. W tej samej jednak chwili radość moja zmniejszyła się znacznie, zobaczyłem bowiem w oknie gęste stalowe kraty!

Nierobiłem sobie jednak nic z tego, obejrzałem drugie okno i przekonawszy się, że jest także zakratowane, przyprowadziłem mą toaletę do porządku i postanowiłem pójść do ogrodu otaczającego willę, aby użyć choć trochę przechadzki.

Zaledwie jednak nacisnąłem klamkę, poznałem, że drzwi pokoju były zamknięte na klucz.

Byłem zatem uwięziony!...

V.

— Powiadam panu, niema pan pojęcia, jak ja żałuję naszej panienki! Taka miła, taka ładna, taka wykształcona, a tak cierpieć musi biedaczka!..

— Hm! prawda to, ale przyznam się, że chciałbym coś więcej dowiedzieć się o tem wszystkiem mój przyjacielu, zwłaszcza, że to mnie także coś obchodzi, skoro ją moja własna krew podtrzymuje przy życiu!

— Owszem! To, co mi wolno powiedzieć zaraz panu opowiem!...

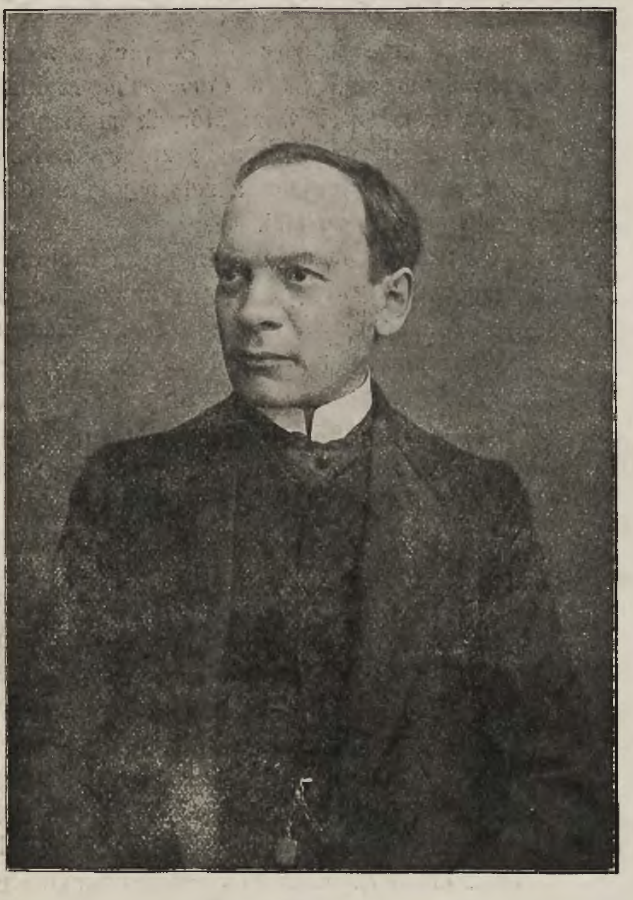
Tak rozpoczęła się moja rozmowa z Franciszkiem, służącym tajemniczego starca podczas przechadzki w parku otaczającym willę, w chwili, gdy właśnie zapalałem sobie jedno z pysznych cygar hawańskich, które miałem teraz w dowolnej ilości do dyspozycyi.

Odebrano mi wprawdzie wolność, ale odebrano także troskę o jutro. Wszystkiego miałem poddostatkiem, na niczem mi niezbywało, a że do więzienia byłem już przyzwyczajony, więc i z utratą wolności pogodziłem się bardzo szybko.

Towarzyszył mi, a raczej strzegł mnie ów olbrzym, będący w służbie u tajemniczego starca, który starał się mnie zabawić swą rozmową. Nie pogardzałem ani jego towarzystwem, ani jego rozmownością, bo przecież bądź co bądź zależało mi na tem, aby dowiedzieć się jakichkolwiek szczegółów o moim obecnym władcy, tembardziej, że bawiąc w tej willi już od czternastu dni i dawszy sobie już po raz drugi zabrać potrzebną starcowi ilość krwi, chciałem poznać jego przeszłość i chorobę jego córki.

Ale dotychczas Franciszek był zawsze bardzo ostrożny. Mówił o wszystkiem, ale zbywał mnie milczeniem, gdy zaczynałem mu stawiać na ten temat jakieś pytania. C. d. n.

Migawki teatralne.



Józef Chmieliński.

Varietas delectat — mówi przysłowie i słusznie tak mówi, bo wszelka jednostajność nuży, czy to w rzeczach sztuki, czy w życiu prywatnem, czy — niestety — w poważnym stanie małżeńskim czasami...

Dla urozmaicenia tedy obrazków naszego kalejdoskopu teatralnego, po lekkiej muzie operetkowej, zaprezentowanej w numerze poprzednim, wracamy dziś znowu do bogini cięższego kalibru — do dramatu, przedstawiając Szanownym Czytelnikom konterfekt sympatycznego, o wielkim talencie i wielkiej pracy artysty, dla sceny lwowskiej bardzo dobrze zasłużonego Józefa Chmielińskiego.

„Młody człowiek — stary aktor“... możnaby o nim powiedzieć; nietylko bowiem fakt, że lat już około dwudziestu pracuje przy scenie, usprawiedliwia ten epitet starości — ale sama, wrodzona mu niejako powaga i ta wzorowa jego staranność, pogłębianie sumienne każdej przydzielonej mu roli, postawiły go jakoś z pierwszych już dni zawodu scenicznego w rzędzie — starszych...

Kolega zacny, lubiany, nie bez pogodnego humoru nawet — a przecież z najmłodszych swych czasów zawsze senzat, nigdy lekkoduszny trzpiot, przy nieodłącznej sympatyi, zawsze mimowolny nakazujący szacunek.

Życie Chmielińskiego — to jeden nieprzerwany ciąg pracy i studyów. Te studya też, ta szczera praca przy talencie wrodzonym i wspaniałej dykcyi, pozwoliły mu utrzymać się na wyżynie zajętego we Lwowie stanowiska, a co więcej, nie uronić nic z uznania prasy i publiczności nawet wtedy, gdy takich dwóch potężnych stanęło obok niego współzawodników, jakimi są bezsprzecznie Solski i Kamiński...

Artysta w „każdym calu“ — mógłby być ozdobą każdej stołecznej sceny; Chmieliński jednak, choć z rodu królewiak — nie pragnie Warszawy... Pokochał Lwów, jakby się w nim urodził — Lwów też odpłaca mu wzajemnie szacunkiem i uznaniem i — tak jest dobrze!

Sylwetką niniejszą składa mu również hołd zasłużony *Nowościarz.*

Mądry sędzia.

W Bagdadzie żył swojego czasu kadi Ali ben Jussuf, który daleko i szeroko słynął ze swej mądrości jako sędzia. Otóż pewnego razu stanął przed nim handlarz dywanów, Hassan i rzekł:

— Effendi! potrzebuję twojej pomocy. Czy zechcesz mi jej użyczyć?

— Nikomu rady nie odmówiłem dotąd — odpowiedział siwobrody starzec — mów, co masz na sercu?

— Wiesz o tem pewnie, kwiecie mądrości, że ja przed sześciu miesiącami zaślubiłem młodą dziewczynę... Uśmiechasz się, kadi? O, zapewne! był to krok nierozważny, którego żałowałem już nieraz... Jako handlujący dywanami, muszę często wyjeżdżać z domu na czas dłuższy — a tem samem polegać na wierności pozostałej na gospodarstwie żony. Tymczasem Fatma zdradza mnie!

— Zkądże to wnosisz? — spytał sędzia.

— Przyjaciele moi widzieli kilkakrotnie w czasach mej nieobecności, jak młody Omar ben Mahmud opuszczał nocą dom mój pokryjomu. Oprócz tego znalazłem w posiadaniu Fatmy klejnoty, których ja jej nie kupiłem i których nie wniosła w dom mój posagiem.

— Czy badałeś ją w tym względzie?

— O! nie jednokrotnie! ale umiała mi się za każdym razem tak po mistrzowsku wykręcić, że nie dowiodłem jej niczego, a bez dowodów jasnych nie wolno mi odesłać ją jej rodzicom.

— Dobrze więc! — rzekł po namyśle ben Jussuf. — Idź teraz do domu i oświadcz żonie, że ma się niezwłocznie stawić przedemną. Tyle ty; a ja postaram się o resztę.

Hassan głęboki złożywszy ukłon, wyszedł; Ali zaś przywołał służącego i dał mu jakiś rozkaz tajemny. Wkrótce zjawiła się też u niego piękna Fatma, zwyczajem wschodnim gęstą zakryta zasłoną i rzekła:

— Rozkazałeś, sędzio, jestem. Czego żądasz!

— Oskarżają cię o wiarołomstwo z Omarem.

— To potwarz haniebna! Na czem opierają swoje oskarżenie?

— Widziano Omara kilkakrotnie wymykającym się nocą z twego domu.

— Sędzio sprawiedliwy! mam ładne niewolnice... nie wiem, u której był Omar.

— Zkąd jednak masz klejnoty, których ci twój mąż nie kupił?

— Darowała mi przed śmiercią moja przyjaciółka Aisza.

— Twoje służące przyświadczyły, że przyjmowałaś Omara.

— O! te gadziny! za sztukę złota poświadczą fałszywie przeciw rodzonej matce!

— Może!... jednakże i sam Omar przyznał się do tego grzechu.

Fatma skoczyła jak zraniona lwica.

— Co?... on! niech mi to powtórzy w oczy!

Ben Jussuf uśmiechnął się i rzekł:

— Schowajże się tu za tą kotarą i słuchaj, ale milcz jeżeli ci życie miłe.

Fatma ukryła się za dywan — przywołano Omara. Kadi zapytał go wprost:

— Omarze! obwiniają cię o karygodne stosunki z Fatmą, żoną Hassana.

— Kłamią, starcze sprawiedliwy!

— Wychodziłeś nocami z jej domu.

— Od jej niewolnicy, tak!

— To dziwne! przekładasz więc niewolnicę nad panią, tak słynną z piękności kobietę?

— Co? Fatma piękna? — zaśmiał się Omar. — Piękna? ta stara czarownica, której włosy i zęby wyłażą, co twarz ma pomarszczoną, jak zmarznięte jabłko, oczy jak dwie cebule, a ciało czarne i suche jak kościotrup? Ha, ha, ha! Kto mnie śmie tak czernić?

Kotara rozsunęła się z hałasem — Fatma wypadła z po za niej wściekłości pełna.

— Ha! — krzyknęła — podły ty! tak to mówisz teraz o mnie?! a kiedyś mnie pieścił, kiedym ci pozwoliła całować tę zmarszczoną moją twarz, to byłam ci „czarodziejską boginią piękności!?...

— Dość tego! — zawołał Kadi — wyjdźcie stąd oboje! Hassan dostanie list rozwodowy!...

I tak się stało. Ciekawemu zaś mężowi, gdy pytał, jakim sposobem zmusił Fatmę do wyznania prawdy — odrzekł mądry starzec:

— Pomnij, mój synu, że jakkolwiek wielką jest chytrość kobiet, to większą i silniejszą nad wszystko jest ich — próżność!... *Pablo.*

Kącik humorystyczny.

W szkole ludowej.

Nauczyciel: Iksiński, jak na imię twojej matce?

Uczeń: Nie wiem, proszę pana psora!

Nauczyciel: Jakto nie wiesz? A jakże ojciec woła na matkę, jak przychodzi do domu?

Uczeń: Ty stara małpo!...

Przytomny papa.

— Pańska córeczka jest klasyczną cyklistką!

— No, no! Tak starą jeszcze nie jest!...

Przed wystawą.

— Pani! serce moje i wszystko, co posiadam, należy do pani!

— Tak? No to wejdźmy do tego jubilera!

Zagadki do nagrody.

Rebus.



Łamigłówka liczbowa.

		8	2	1	6	2		
	2	8	9	2	3	2	4	
		4	2	15	15	2		
			13	16	2			
			5	13	11			
		20	2	8	13	9		
		2	11	12	15	2		
			8	18	7			
	9	7	18	16	7	10	19	
		16	17	6	15	13		
5	12	11	15	12	6	2	9	7

W miejsce liczb wstawić litery, ażeby się utworzyły słowa:

1) Wytwór fantazyi. 2) Imię biblijne. 3) Pożywienie z nieba. 4) Owad. 5) Nazwisko poety. 6) Góra biblijna. 7) Imię kobiece. 8) Krzew. 9) Miasto w Galicyi. 10) Wyrób z wełny. 11) Rzemieślnik.

Środkowa, pionowo idąca linia utworzy imię i nazwisko bohatera polskiego.

Szarady głoskowe.

1.

Pięć liter miał w nazwisku
Sławny mąż na tronie:
Pierwszej poszukaj w *płaczu*,
Drugą znajdziesz w *pionie*;
Od *trzecicj* się zaczyna
Niebiańska istota,
Od *czwartej* ryba z wąsem,
Co leży wśród błota.
Piątą ci w swoim środku
Zwój nici pokaże.
Odgadnijcież to wszystko
Zacni luminarze.

2.

Pierwszą masz w każdym *stanie*, ale nigdy w klasie;
Drugą masz w każdej *porze*, w żadnym jednak czasie;
Trzecia siedzi w *rapirze*, a niema jej w szabli,
Czwartej nie mają czarci — ale mają *dyabli*...
Piąta w każdej *potrawie*, nie mają jej wety,
W *całość* można coś schować — noszą ją kobiety.

Za rozwiązanie rebusa, łamigłówki i szarad przeznacza redakcya: Wiliama Moris: **„Wieści z nikąd“.**

Rozwiązanie zagadek z Nru 3-go nadesłali w dalszym ciągu pp.: Łabiński, Stojałowska, Rogalski, Wolański, ks. Świtalski i Kasyno w Bełzie.

Rozwiązania z Nr. 4.

Rebus:
Rzymianie podbili cały świat mieczem, ich potomkowie Włosi muzyką.

Szarady:
1) Celina. 2) Afganistan.

Łamigłówka:
Janina
Amoniak
Ziemowit
Giardinetto
Admirał
Roztop
} Jazgar-Płotka

Rozwiązanie nadesłali pp.: Długosz, Mika, Dembiński, Kolbusz, Chodkiewicz, Jerschinowa, Gawel, Zaruski, Paczoski, Nemetz, Czytelnia katolicka w Makowie, Adam Behr i Cichowicz.

Nagrody przez losowanie wypadły dla pp.: Behra, Jerschinowej i Cichowicza — którzy to państwo raczą na porto nadesłać po 50 hal.

Imię
„SINGER“
jest dla maszyn do szycia

skutkiem światowej sławy, jaką sobie nasza fabryka zjednała przez 50-letnią sumienną działalność — najlepszą gwarancyą wyborowego materyału i wzorowej konstrukcyi. To właśnie jest powodem, dla którego wiele innych fabryk i firm, trudniących się sprzedażą maszyn do szycia, usiłują sprzedawać maszyny do szycia pod wprowadzonemi przez nas oznakami, naprzykład: **„Central-Bobbin“** a nawet pod nazwiskiem **„Singer“**.

Nie należy zatem pozwolić się tego w błąd wprowadzać, przy kupnie zaś maszyny do szycia zapytać się wprost, czy takowa pochodzi od naszej firmy i nie zadawalniać się wymijającemi odpowiedziami.

Singer Comp.
Towarzystwo akcyjne Maszyn do szycia

Kraków: ul. Szpitalna 40 naprzeciw teatru miejskiego, Kazimierz, ulica Wolnica.

Filie w Zachodniej Galicyi: Nowy Sącz: ulica Jagiellońka. Rzeszów: Trzeciego Maja 5. Tarnów: ulica Krakowska 4/5. Chrzanów: Rynek.

Poleca rozmaite wyborne gatunki
KAWY
codziennie świeżej
równo i pięknie palonej najnowszym i najlepszym sposobem **za pomocą gorącego powietrza** odznaczającej się najprzedniejszym czystym smakiem, pełnym i silnym zapachem, największą wydatnością, a zarazem posiadającą własność utrzymywania przez czas długi smaku i zapachu, w niezmienionej pierwotnej świeżości **po cenach bardzo przystępnych.** Na prowincyę wysyła od czterech kilgr. począwszy **codzień świeżo** paloną kawę 2—14 **= opłatnie. =**

Pierwsza Krakowska
elektro-mechaniczna
PALARNIA KAWY



M. JAWORNICKI
KRAKÓW
Rynek gł. 44.

Osoba młoda poszukuje posady
KASYERKI
Za wyrobienie posady ofiaruje **50 koron.**
Wiadomość w adm. „Nowości“.

Spłaty częściowe!
dozwolone za poprzedniem ustnem lub listownem porozumieniem się.

Bezsprzecznie największy wybór!

Renomowana i powszechnie znana firma
Dom towarowy „AU LOUVRE“
we Lwowie
ul. Sykstuska l. 6 (Pasaż Hausmana).

poleca swój obfity i bogato zaopatrzony skład wszelkich możliwych gatunków dywanów (także kościelnych i przed ołtarze) dywaników, portyer, firanek, chodników, kap na stoły i łóżka, cerat, linoleum, kołder, koców, der na konie oraz wszystkich innych przedmiotów dekoracyjnych po nader niskich cenach konkurencyjnych.
Za nadesłaniem nam marki pocztowej za 10 h. wysyłamy nasze bogato illustrowane cenniki, w których są opisane także towary lniane i bawełniane, bielizna męska i damska szyfony, płótna, bielizna stołowa i inne ważne artykuły, w zakres domowego gospodarstwa wchodzące. Zlecenia z prowincyi załatwia się odwrotnie.
By ujść pomyłkom, prosimy na nasz adres dokładnie zważać.

Z poważaniem Zarząd firmy:
Dom towarowy „Au Louvre“
5-14 **Lwów, Sykstuska 6.**

HENRYK DATTNER
PRZEDTEM BRACIA ISCOVITSCH
MAGAZYN UBIORÓW
MĘSKICH I DZIECINNYCH
Kraków, Rynek 12 (parter).

Poleca swój bogato zaopatrzony Magazyn na każdy sezon w doborowych gatunkach i cenach bezkonkurencyjnych. 2-7

— **Założona w roku 1836** —
Fabryka spirytusu, rumu, rosolisów i likierów
pod firmą
Salo Goldfrucht
w Zniesieniu obok Lwowa
poleca znakomite wódki polskie, jak: kontoszówka, żytniówka, starka, koniak żytni 10-letni, ratafia, roztopczyn, z 1864 roku śliwkówka, gruszkowa, aprikotin i t. p. Wszystkie krajowe i zagraniczne rumy, jakoteż koniak francuski i śliwowicę węgier.
Wysyłka pocztą w 5-kilowych flaszkach blaszanych. Cennik wysyła gratis i franko. 5—14

Ulica Bracka L. 5
Skład i Pracownia Futer
pod firmą
A. Armatys i Sp.
Kraków, ulica Bracka l. 5
poleca: futra męskie i damskie, podróżne i miastowe, garnitury dziecięce, czapki i kapelusze damskie oraz męskie.
Kolie w najnowszych fasonach
towar tylko pierwszorzędnej jakości
Przyjmuje się roboty pod najprzystępniejszemi warunkami, wykonanie dokładne i spieszne.
Zamówienia na prowincyę odwrotnie
Przyjmuje się futra na lato do przechowania.
Ceny niskie.

Porębski & Zimler
w Krakowie Rynek L. 8
Magazyn towarów drobiazgowych
i przyborów do krawieczyzny
polecają
Nowości
w tych działach na sezon jesienny i zimowy.

NAJWIĘKSZY ZAKŁAD POGRZEBOWY
JANA WOLNEGO
jedyny w Krakowie, posiadający
własną Fabrykę Trumien, wielki wybór Trumien metalowych i z drzewa.
Główny skład przy ulicy św. Tomasza l. 4, tuż przy Placu Szczepańskim, telefon Nr. 331. — Filia przy ulicy Kopernika L. 6. 2—14
Zakład urządza pogrzeby od najskromniejszych do najwspanialszych ze znaną ścisłą punktualnością, uchylając pozostałej rodzinie wszelkich trudów. — Zakład podejmuje się przewozu i sprowadzania zwłok ze wszystkich krajów Europy.
Ceny możliwie najniższe, na żądanie spłata ratami miesięcznie.
Katakomby (groby Wieczyste) do przechowywania zwłok tymczasowo lub do odstąpienia na wieczysty spoczynek.



FABRYKA CUKRÓW I HERBATNIKÓW
JANA HÖFLINGERA
we Lwowie, ul. Teatralna l. 8 (pl. św. Ducha)
w domu własnym
poleca **czekoladę Mickiewiczowską** w postaci medalionów **sztuka 20 hal.**
Dochód cały z rozsprzedaży pierwszych 10.000 sztuk na rzecz pomnika Mickiewicza we Lwowie
5-9 **Dla PP. Kupców znaczny rabat.**
Herbatniki sławne warszawskie 1 klg. K 3·60.
Cukry deserowe znakomite 1 „ K 4·40.
Zamówienia z prowincyi załatwia odwrotną pocztą.

Odpowiedzialny redaktor: Wiktor Nimhin. Wydawca i właściciel: Aleksander Ripper. Z drukarni Władysława Teodorczuka i Ski w Krakowie, ul. Zielona 7.